№ 10. Warszawa, dnia 9 Marca (25 Lutego) 1889 r. Rok IX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Szan. abonentom kwartalnym przypominamy zbliżający się termin przedpłaty i prosimy o wczesne nadsyłanie jej dla uniknięcia przerw i opóźnień w odbiorze **Prawdy.**

POLITYKA.

W POTRZASKU.

Zarówno w rzeczach małych, jak wielkich zaprzeczyć trudno, że anglicy są narodem wysoce oryginalnym. Pomimo ciągłego i znacznego udziału w cywilizacyi europejskiej, pomimo ożywionych stosunków i pokrewieństw plemiennych z resztą świata, posiadają oni w swej naturze jakąś odrębną i często dziwaczną prawidłowość. Do miliona innych dowodów przybył nowy — proces Parnela z *Timesem*. Szkielet tej sprawy jest dość zwyczajny. Dziennik oskarżył przywódcę irlandzkiego o moralne współuczestnictwo w znanych morderstwach politycznych, a oskarżenie to oparł na jego listach własnoręcznych. Coś podobnego zdarzyć się mogło wszędzie, w Anglii wszakże szkielet ów obrósł osobliwem ciałem. Przedewszystkiem rząd przyjął stronę *Timesa*, gazety prywatnej, za swoją i dał mu swego naczelnego prokuratora do obrony przed komisyą parlamentarną, która zbadać miała podstawę zarzutu. Nie dość tego. U nas lub gdziekolwiek, ktoś w podobnym wypadku zwraca się do sądu ze skargą, wybiera sobie adwokata i przeprowadza proces za kilkadziesiąt lub wreszcie kilkaset rubli. W Anglii — dzięki zwyczajom miejscowym i prawu — tego rodzaju kłopot kosztuje setki tysięcy rubli. *Times*, rozporządzający milionami, może sobie pozwolić takiego wydatku, ale Parnel — nic. Występuje więc nowy rys charakterystyczny — bezprzykładna ofiarność: za przywódcą swoim staje cały naród irlandzki, który mu dostarcza potrzebnych środków. Rozpoczyna się walka dwu tytanów, dwu ogromnych worków z pieniędzmi, która roznamiętnia strony i coraz bardziej wiąże interes rządu z interesem dziennika. Nareszcie w toku śledztwa i rozpraw odsłania się prawda: mniemane listy Parnela podrobił i sprzedał *Timesowi* łotr, kryminalista, przekupień, handlujący sromotnymi obrazkami, który przyznaje się protokularnie do fałszerstwa i zmyka po to, ażeby zakończyć nędzny żywot kulą w chwili, kiedy go miano zaaresztować w Madrycie. Nagle tedy *Times*, naczelny prokurator państwa, rząd — znajdują się w własnym potrzasku, przy którym stoi tryumfujący Parnel z pozwem cywilnym przeciwko gazecie o zapłatę 100,000 f. szt. (około miliona rubli) szkód i strat. Podobny widok oglądać można tylko w Anglii.

Ale nie jest to tylko rozśmieszająca scena z wielkiej komedyi politycznej, lecz fakt, który będzie miał bardzo poważne i doniosłe następstwa. Jakkolwiek torysi usiłują wydobyć się z dołu, w który nieopatrznie wpadli, opinia wpycha ich weń nazad i obrzuca kamieniami. Ani *Timesa*, ani jego patronów nie usprawiedliwia wymówka, że stali się ofiarą niegodziwego podstępu, boć przecie wiedzieli, od kogo nabyli dowody — od szubrawca, który już dopuścił się wielu przestępstw i którego całe życie było pokalanem. Czy więc okazali się naiwnymi gilami, których on złapał w swe sidła, czy świadomymi jego podłości graczami, którym chodziło jedynie o zrujnowanie przeciwnika i jego narodu zapomocą kart fałszywych, w każdym razie sponiewierali swoją powagę, rozum i uczciwość. Z drugiej strony stanowisko Parnela wzmocniło się, a sprawa irlandzka zyskała potężną dźwignię. Ostatnie prawa wyjątkowe przeciwko Irlandyi w znacznej mierze oparto na owem oskarżeniu, które długo wędrowało po prasie, a teraz leży z obciętemi nogami i skrzydłami w błocie, jako zwykłe oszczerstwo. Znając energię i żar patryotyczny irlandczyków, możemy łatwo wyobrazić sobie, jak oni wyzyskają tryumf, jak skupią się około swego zwycięzkiego wodza. Dotąd zamykano im usta w parlamencie i dziennikach posądzeniem o morderstwa, teraz owa kłódka prysła, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu. Jednocześnie zaś odsłoniły się wszystkie brudne nici intryg i knowań na ich zgubę, uświęcanie celem niegodziwym środków niegodziwych, robota podziemna i szpetna.

Spostrzegłszy porażkę torysów, podniósł się w swej kotlinie „stary lew," Gladstone i zaczął zwoływać towarzyszów. Opuścił on rządy z chorągwią sprawiedliwości dla Irlandyi. Jeżeli je znowu obejmie, znajdzie się w zmienionych warunkach, na trwałszym gruncie, nie śród skał głuchych, tłumiących głos jego. Wróżono mu, że nie zejdzie ze świata przed wprowadzeniem w życie tej idei, którą na starość ukochał i która w wieńcu oplatającym jego czoło stanowi liść niewiędnący. Miałżeby istotnie doczekać jednej z najpiękniejszych chwil życia? Salisbury jeszcze się trzyma, ale jak pijany, jak człowiek, któremu ziemia z pod nóg ucieka. W Anglii przewroty i przemiany dojrzewają bardzo powoli, nie w nagłych, z dnia na dzień przygotowywanych awanturach, więc trudno orzec, kiedy następstwa procesu Parnelowskiego wyważą obecny gabinet; to tylko pewna, że one nie wsiąkną bez śladu, lecz wypłyną potokiem, który podmyje i rozerwie wały torysowskie, a życiu Irlandyi otworzy nowe łożysko. W tej możliwości spoczywa waga wyniku sprawy sądowej, która się stała fatalnym potrzaskiem.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Doprawdy dzieją się rzeczy, o których filozofowie już dawno nie śnili. Nie licząc królewicza szwedzkiego, który zrzekł się dostojeństw dla kobiety, w ciągu paru tygodni również poświęcają dla kobiet: arcyksiążę Rudolf tron i życie, ks. Battenberg— pretensye bułgarskie, wreszcie król Milan— koronę. Ale to nie dosyć powiedzieć: dla kobiet, dodać trzeba: dla życia prywatnego. Według wszelkiego prawdopodobieństwa abdykacyę serbską przygotowano w porozumieniu się z dworami. Milan wybrał na nią dzień rocznicy ogłoszenia królestwa, zawarł umowę z trzema regentami, którzy czuwać mają nad dwunastoletnim jego synem Aleksandrem do czasu pełnoletności, zwołał ministrów i dyplomatów, oznajmił im swoje postanowienie i odtąd ma zostać „hrabią Takowy“ i mężem bogatej damy. Trudno jednak przypuścić, ażeby wierny przyjaciel Austro-Węgier nie uwiadomił ich o tak ważnym kroku i ażeby wyborem regentów nie utrwalił nadal dotychczasowych z sąsiadami stosunków. Naturalnie wszystkie kontrakty, przyrzeczenia ustne i zobowiązania piśmienne, nic tu nie znaczą, a Risticz, jeśli on będzie rej wodził w triumwiracie, zczasem się usamowolni. I dlatego mają słuszność gazety, które ustąpieniu Milana przypisują daleko sięgający wpływ na rozwój wypadków politycznych.

Francuskie ministerium „od wystawy i wyborów“ sprawiło lekceważącym je wielką niespodziankę. Mianowicie rozpędziło ligę patryotyczną, która stała się poprostu agenturą bulanżyzmu i kuźnią knowań [illegible]wko rzeczypospolitej, a rozpędziło [illegible]ią, której nie oczekiwano po minist[illegible]d wystawy.“ Wykopane w norach lisy skomlą i gryzą zajadle, ale rząd nie daje się tem zastraszyć.

Dziwny i jedyny w swoim rodzaju wi[illegible] rozbitki ligi i rycerze bulanżyzmu. Podczas gdy oni w pismach i na zebraniach złorzeczą okrucieństwu francuskiemu względem Aszinowa i wznoszą na jego cześć toasty, gazety ruskie (*Nowosti*, *Graždanin* i inne) odzierają tegoż Aszinowa z wszelkich cech moralnych i przedstawiają go jako awanturnika bardzo pośledniego gatunku. Burmistrz Carycyna np. w *Nowostiach* wyjaśnia, że nietylko w Rosyi niema żadnych „wolnych kozaków,“ których „atamanem“ mieni się Aszinow, ale że ten bohater, osiadłszy na jakiejś wysepce, przez pewien czas trudnił się rozbojem.

Kanclerz zażądał od parlamentu niemieckiego — czegoż on mógł zażądać?—24 milionów nowych dopłat, a z tych 12½ milionów na... artyleryę. Rzeczywiście można zdumiewać się nad zagadką, skąd ci niemcy biorą pieniądze i za co oni niedługo będą kupowali chleb.

Windhorst postawił w sejmie wniosek, żądający przywrócenia przywilejów duchowieństwa w szkole przy wykładzie religii. Wniosek upadł, bo upaść musiał, ale o co walczyli poznańczycy, stając w jego obronie? Czy o to, ażeby Dinder miał większą swobodę niemczenia ich dzieci? Zaiste, ci panowie są bardzo podobni do zająców, uparcie chodzących jedną ścieżką, mimo że na niej już nieraz łapali się we wnyki.

Crispi podał się wraz z całym gabinetem do dymisyi i otrzymał polecenie utworzenia nowego. Umarł i zaraz zmartwychwstał. Ale zdaje się, że nauczony doświadczeniem przestanie pamiętać o swym „przyjacielu“ z Warcyna, rujnować kraj zabawą w wielkie mocarstwo i korzyściami sojuszu paść straszną nędzę. Zrozumiał on już, że trzeba pomyśleć o niedoli narodu, której blaga szerokich rozmachów politycznych nie usunie.

Harisson objął prezydenturę Stanów Zjednoczonych.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

JUBILEUSZ UWŁASZCZENIA WŁOŚCIAN.

Przerywamy na dzisiaj szereg artykułów o sprawie ludowej, aby powiedzieć słów kilka z powodu 25-letniej rocznicy uwłaszczenia w kraju naszym, która przypadła w ubiegłym tygodniu. Sprawa ta posiada szersze znaczenie dziejowe niż proste wyswobodzenie pewnej licznej warstwy z pod jarzma pańszczyźnianego, przeprowadzenie jej bowiem jest zarazem hasłem wyzwolenia dla nowoczesnych potęg ekonomicznych — wielkiego przemysłu, który może istnieć tylko przy swobodnej i masowej podaży rąk roboczych na rynku pracy. Wszędzie też przewrot w dziedzinie stosunków feodalnych, ciążących na osadzie chłopskiej, otwierał na oścież wrota powstaniu nowożytnego przemysłu przerabiającego. Podobne znaczenie posiadała i dla kraju naszego reforma włościańska lub raczej przewrot, dokonany z góry. Nim w ogólnych słowach streścimy jej skutki, rzeknijmy kilka słów o samych okolicznościach, wśród których ona ujrzała świat.

Hasła z r. 1789, które w gruncie rzeczy są hasłami wyzwolenia wielkiego przemysłu z pod ograniczeń cechowych oraz uwłaszczenia poddanych, odbiły się w kraju naszym dwojako. Z jednej strony wśród umysłów głębszych i szlachetniejszych wywołały one chęć unicestwienia odpowiednich stosunków swojskich, lecz zgodnie z ówczesnem naszem położeniem przyjęły szczególną postać, gdyż zamiary oswobodzenia stanowego całej warstwy przeistaczają się w filantropijne budowanie drobnych respublik patrymonialno-czynszowych. Z drugiej znów strony, Napoleon I, który po za planami zaborczymi spełniał ważną czynność dziejową: przystosowywał organizm społeczny Europy do urządzeń Francyi porewolucyjnej, zniósł w Księstwie Warszawskiem w r. 1807 osobiste poddaństwo i uznał w ten sposób dawnych poddanych za ludzi osobiście wolnych i w obliczu prawa równych z pozostałymi członkami społeczeństwa. Jednakże stan rzeczy faktycznie nie uległ zmianie, gdyż włościanin z porzuceniem jakiegoś dominium tracił prawo posiadania osady, gruntów, a nawet zasiewów. Słowem, chwasty wszelkie dawnego porządku zostały nietknięte aż do siódmego dziesiątka wieku bieżącego. Wprawdzie w tym przeciągu czasu usunięto niektóre nadużycia w zakresie dóbr rządowych, donacyjnych i instytutowych, lecz tyczyły się one tylko małej cząstki stanu włościańskiego. Daleko ważniejszemi są już ustawy z r. 1848, zabraniające w obrębie dóbr prywatnych samowolnego wydalania włościan posiadających przynajmniej 3 morgi ziemi i wcielania pustkujących osad do obszarów folwarcznych oraz znoszące niektóre powinności natury niestałej i nieokreślonej. Zapowiedziano wtedy blizkie oczynszowanie, lecz wszystko skończyło się na papierze. Nieco później, wśród samego społeczeństwa, przynajmniej w obrębie pewnych kół, budzi się żywe zainteresowanie losem włościaństwa, rozbija się jednak o sobkostwo klasowe obywateli ziemskich. Ukazy 1861 i 1862 r.

DOROŻKARZ

przez

L. Brethons-Lafargue'a.

Kilka lat temu zostałem zaproszony do kolegium X... w Paryżu na ceremonię rozdawania nagród. Daleki krewny, niby wierny mój portret, niezmiernie leniwy i nadzwyczaj niesforny malec, zaprosił mię na tę uroczystość. Wyznać muszę, że nie lubię tego rodzaju popisów. Naprzód bywają one długie, a więc nudne; następnie przypominają mi te czasy opłakane, chociaż bardzo już odległe — niestety! — w których, pomimo że nie wykroczyłem ani przeciwko Bogu, ani przeciwko ludziom, zamykano mię w strasznych więzieniach, zwanych kolegiami i liceami, gdzie nie mogłem oglądać wspaniałego majestatu niebios oblanych światłem, zarówno jak i pól uwielbianych przeze mnie—te czasy nieszczęsne, w których moja biedna uwięziona wolność opłakiwała losy swych skrzydeł podciętych, kiedy wszystko zdawało się sprzysięgać, aby mię natchnąć odrazą do książek, do tych książek, które zdołałem ukochać następnie, ponieważ przynoszą one niekiedy spokój i pociechę... Że jednak przedmiot opisywany przeze mnie nic zawiera w sobie nic smutnego, ale owszem wręcz przeciwnej jest treści, nie wiem właściwie, o co się dąsam.

Bądź przez ciekawość, bądź skutkiem braku zajęcia, postanowiłem wziąć udział w tem święcie.

Wyszedłem po śniadaniu, a ponieważ już się trochę spóźniłem, skinąłem na dorożkarza przejeżdżającego ulicą, starego jakiegoś wygę z siwą głową. Poganiał on konia wychudzonego, zaprzężonego do krytego powozu, bardzo zniszczonego, który snać nawet za czasów swej młodości nie został pomalowanym, ze względu zapewne na tę okoliczność, że kolor nic nie wpływa na przyspieszenie biegu.

Dorożkarz ściągnął cugle i zmusił swą szkapę do stępa.

— Czy jesteś wolnym?

— Zależy to obywatelu od tego, dokąd jedziesz.

— Do kolegium X..., na lewym brzegu, obok dworca...

— Wiem! wiem! — mruknął pod nosem; proszę siadać, właśnie dobrze się składa.

Wgramoliłem się do tego niby powozu i podążaliśmy jako tako. Zauważyłem w ciągu drogi, że zarówno koń, jak i jego pan wyglądali na dychawicznych.

Przed kolegium zatrzymaliśmy się. Wysiadłem. Powątpiewałem, abym się mógł zdobyć na odwagę wytrwania aż do końca.

— Dorożkarzu — rzekłem, wydostając drobne pieniądze, czy będziecie tu mniej więcej za godzinę?

— Tak jest, obywatelu.

— Czy odwieziecie mnie?

— Nie, obywatelu.

— Dlaczego?

— Jestem zamówiony.

W tej chwili dotknęła mego ramienia ręka, okryta rękawiczką. Odwróciłem głowę.

— Pan tu? — zawołał ze zdziwieniem mój przyjaciel Metinier.

I uścisnęliśmy sobie dłonie.

— Co za szczęśliwy traf! — wykrzyknąłem, zaczekaj pan na mnie, będziemy się trzymali razem.

Zapłaciłem należność i wziąłem pod ramię przyjaciela.

Weszliśmy w podwórze, a że podwoje sali nie były jeszcze otwarte, czekaliśmy przechadzając się.

— Planteau cię przywiózł — odezwał się Metinier, nie wiedząc zapewne od czego ma zacząć rozmowę.

— Jaki Planteau?

— Dorożkarz, z którym przyjechałeś.

— Nic o tem nie wiem. Spotkałem go po drodze, więc go wziąłem. Dlaczego mówisz mi o tem? Czy go znasz?

obwieszczają bliskie oczynszowanie wszystkich włościan z urzędu. Wreszcie 19 lutego (4 marca) 1864 r. wychodzi Ukaz Cos. Aleksandra II, stanowczo zrywający z świeżą jeszcze tradycyą oczynszowania, co tłomaczy się ówczesnymi warunkami kraju, i przeprowadzający uwłaszczenie, tj. oddający grunta w dobrach prywatnych, rządowych itd. na zupełną własność tych włościan, w rękach których naówczas się one znajdowały, wraz z zupełnem oswobodzeniem od wszelkich powinności. Padł wtedy rumieniec sromu i wstydu na czoła warstwy szlacheckiej, nieumiejącej wyrzec się przywilejów stanowych i przeprowadzić chociażby najskromniejszą reformę w tym kierunku. Jednocześnie wydano inny Ukaz, wcielający w życie odpowiednią reformę administracyjną samorządu wioskowego i gminnego.

Dziejowo uwłaszczenie jest wykupnem pewnej cząstki dawnych ziem gminnych na rzecz właścicieli pierwotnych, społecznie — najdonioślejszym przewrotem w zakresie całego życia społecznego. Społeczeństwo nasze zostało nagle wepchniętem na zupełnie odmienne tory. Wprawdzie kraj, przeważnie rolniczy, pozostał na razie długo takim, lecz w gruncie rzeczy jego wygląd ekonomiczny przeistoczył się do szczętu. Zamiast porządków naturalno - pańszczyźnianych, własność dworska stanęła wobec pieniężno - najmickich — wbrew własnej woli i bez najmniejszych po temu uzdolnień. Nadto i sam najmita ukazał się w szczególnej postaci psychicznej. Wśród ogólnej ilości obwinionych o kradzież w r. 1863, przypada 34,5% włościan, w 1864 — 47,24%; o rabunek z rozbojem 30,42% i 77,77% itd. Możnaby powiedzieć, że wzrost przestępstw wynikł z uchylenia opieki dworu, załatwiającej wiele spraw w sposób „ojcowski,“ gdyby nie inna okoliczność, mianowicie, iż przez kilka lat następnych cyfry zbrodnictwa zmniejszają się. Zjawisko to, nieodłączne zresztą od każdego przewrotu społecznego, wskazuje trudności, z któremi nagle wypadło walczyć wielkiej własności przy najmie ludzkiego towaru. Dodajmy do tego ruinę umysłową i moralną warstwy, przodującej dotychczas w wyzysku ludu. Dotychczasowa postać rynku roboczego przybiera inną fizyognomię. Włościanin ukazywał się dawniej na nim wyjątkowo, mianowicie tylko w tym przypadku, gdy znajdował tu lepsze warunki, niż istniejące na wsi, gdzie jako siła robocza był rzeczą względnie cenną ze stanowiska interesów dworu. Lecz z braku rozwoju przemysłowego zbywało na pobudce, którąby odciągała włościaństwo od wsi. Uwłaszczenie sprowadziło tu zmianę. Wprawdzie Ukaz z 19 lutego 1864 zawarł w sobie paragrafy, uniemożliwiające zmniejszenie obszaru włościańskiego; co więcej, dzięki parcelacyi drobna uprawa rozszerzyła się nawet na dawne przestrzenie dworskie.

Przeniesienie punktu ekonomicznej ciężkości ze wsi do miasta, w mieście z warstw rzemieślniczych na wielkoprzemysłowe; upadek znaczenia dworu i przeniesie niegdównego interesu społecznego na gromadę, zwłaszcza zaś na zamożnych włościan — oto bezpośrednie następstwa uwłaszczenia. Korzystając z 25-letniej rocznicy uwłaszczenia warto byłoby się im przyjrzeć szczegółowiej; rozwój wypadków i stosunków za okres lat 1862—1888 następuje u nas w tak powiązanym łańcuchu, że nie trudno skreślić przyrodzoną konieczność jego biegu. Zresztą rzeczy tak stoją nietylko w sferze czysto materyalnej produkcyi. I wśród produkcyi umysłowej i artystycznej mamy też do czynienia z podobnem zjawiskiem, tylko z tą różnicą, iż jest ono natury wtórnej, odbijającej przebieg, który dokonywał się w zakresie stosunków materyalno-ekonomicznych. Wraz z upadkiem wyzysku poddańczego staje się niemożliwą dawna atmosfera ideologiczna. Zjawiają się nowe ideały, poglądy, przekonania. Jednakże nie spadają one z nieba i nie wiszą w powietrzu, lecz żyją i oddychają wszystkiemi namiętnościami dnia, już usuwając przeszkody z pod toczącego się rozwoju społecznego, już idąc jego śladem. Skreślenie dziejów naszej myśli po r. 1864 w związku z rozwojem ekonomicznym oczekuje na badacza. Dotychczasowi bowiem krytycy i pisarze okazali się po temu nieudolnymi — w literaturze nie zdołali się wznieść ponad rozbiór psychiczny utworów i erudycyę bibliograficzną, w badaniu życia ponad obrończą szermierkę interesów klasowych...

Korzystając z rocznicy, należałoby pomówić także o stanie umysłowym i ekonomicznym naszego włościanina, oraz o jego widokach na przyszłość. To ostatnie pytanie poruszamy obecnie w szeregu drukujących się w *Prawdzie* artykułów, inne odłożymy do niedalekiej przyszłości.

K. R. Żywicki.

Z GALICYI.

Lwów, 23 lutego.

Koło literacko-artystyczne. — „Koła“ i wpływ. — Jedno ale. — Kwalifikacye na członka. — Rocznik ruchu umysłowego. — Brak poparcia. — Towarzystwo przyrodników. — *Kosmos*. — Walne zebranie Towarzystwa im. Kopernika. — Towarzystwo historyczne. — *Kwartalnik historyczny*.

Tak częstą bywa u nas teraz na porządku dziennym rozmowa o „Kole literackiem,“ że chyba i mnie wypada wspomnieć o tem Towarzystwie pokrótce, zwłaszcza, że przed kilku dniami odbyło się w niem doroczne zebranie członków, na którem zdawano sprawę z obecnego stanu Towarzystwa i wypowiedziano niejedno trafne zdanie. Przed laty o istnieniu „Koła“ mało kto wiedział. Szczupłe grono poważnych ludzi ze świata literackiego i naukowego zbierało się niekiedy w lokalu Towarzystwa pedagogicznego. Oto wszystko. Prócz wydawnictwa „dla Zagrzebia“ podczas energicznego prezesowstwa prof. Liskiego, z długoletniej epoki tej żaden wybitniejszy ślad istnienia „Koła literackiego“ nie pozostał. Na społeczeństwo nie wywierało wpływu, ożywczych promieni z siebie nie rozsyłało, ani też nowych sił nie przyciągało i nie skupiało. Przed pięciu laty dopiero zaszła zmiana, gdy u steru obumierającej instytucyi stanął dr. Rutowski. Rozszerzono ramy Towarzystwa, dopuszczając do niego miłośników literatury i sztuki a z przybytkiem nowych sił, z początku oględnie dobieranych, nowe życie wstąpiło w odrodzony organizm. Rutowski umiał przyciągnąć i zabłysnąć. „Koło“ stanęło na silniejszych nogach: własne pomieszczenie, elegancko urządzone, dość bogata czytelnia, kilka zebrań towarzyskich i poważniejszych, wreszcie głośne swego czasu artystyczne bale kostiumowe — wszystko to sprawiło, że „Kołem“ zainteresował się ogół. Niestety piękne, ale zbyt kosztowne, nieoględnie podjęte i niefortunnie prowadzone wydawnictwo zbiorowe *Dla Stryja* podkopało gwałtownie fundusze Towarzystwa, Rutowski zaś spoczął na laurach zdobytych w ciągu kilkuletniego przewodniczenia. Skutkiem tego, gdy z końcem roku 1887 objął rządy Albert Wilczyński, stan finansów był opłakany, między członkami panowało zniechęcenie, „Koło“ tra-

---

— Czy ja znam Planteau! Naprzód jest moim lokatorem...

— No i cóż dalej?

— Dalej?.. Na honor nic... Chyba to tylko, że pomimo całej swej opryskliwości, jest najlepszym z ludzi, choć się spija niekiedy; że ma cztery przystojne córki i trzech chłopców, z których najmłodszy jest tu w kolegium.

— W tem kolegium! Cóż on tu robi?

— Jest uczniem! Dziwi to pana — nieprawdaż?

— Niezawodnie i nie bez racyi. Syn dorożkarza w tem gnieździe arystokracyi rodowej i pieniężnej, to istotnie nie do uwierzenia.

— A jednak tak jest, obaczysz pan. Po przybyciu na świat ostatniego dziecka — około piętnaście lat temu — nieszczęśliwy Planteau znalazł się w rozpaczliwem położeniu. Do sześciorga dawniejszych dzieci na karku przybywała jedna więcej gęba dla nakarmienia; było to nad siły biedaka, przyznasz pan, zwłaszcza skoro dla pełności mojego opowiadania dodam, że matka po słabości umarła. Ostatnie to pisklę przyjął Planteau z taką uciechą, jak gdyby mu została ofiarowaną nędza w pieluchach. Nieborakowi śród tych kłopotów plątały się nazwy ulic. Na szczęście znalazło się dwoje zacnych kapitalistów, bezdzietnych małżonków Turquois z pobliskiego sąsiedztwa, którzy podjęli się opieki nad niemowlęciem. Przywiązali się oni doń z czasem, wychowywali stosownie do swego położenia, dość świetnego — jak się zdaje—i obecnie przepadają za chłopcem. Marzą o tem, aby uczynić z niego co najmniej uczonego, lub wyższego urzędnika. Ma się rozumieć, że go chcą usynowić. Zresztą chłopiec zasługuje na to, jest bowiem bardzo miły i nadzwyczaj zdolny.

— A on, ojciec? — zapytałem.

— On! Ależ to cała radość, cała duma jego ten malec. I rzecz dziwna, jak się pan o tem przekonać możesz, ten człowiek pod wpływem uczucia całkiem nowego, a bardzo delikatnego, chcąc oszczędzić dziecku najmniejszego draśnięcia miłości własnej, postanowił ukrywać się przed nim, zwłaszcza wobec kolegów. Widuje go ukradkiem tylko, nie rozmawia z nim nigdy publicznie i nie znosi, aby mu o nim wspominano. Jeśli się czasem zdarzy, że go wiezie do teatru z opiekunami, trzyma się uporczywie przy swojem, bierze napiwek najnaturalniej, pomrukując nawet według zwyczaju, a gdy dzieciak poważy się szepnąć mu parę słów przyjaznych, karci go spojrzeniem. Co prawda zatrzymuje się następnie o kilka kroków, odwraca się z kozła i wzrokiem roziskrzonym wpatruje się w swego syna, podziwiając go, póki go tylko dojrzeć może. Cóż, czy nie prawdziwie typowa postać, z tego ojca Planteau? Ale co jest najdziwniejszem i najbardziej zajmującem, to, że dzieciak, mający wiele serca uwielbia swojego ojca, pomimo to wszakże, zdaje się rozumieć, że ojciec jego ma poniekąd słuszność postępując w ten sposób, ze względu na bezmierną głupotę ludzką. Bo też istotnie natura świetnie uposażyła malca — każdego bożego roku otrzymuje on prawie wszystkie nagrody w swej klasie.

Głośne dźwięki muzyki wojskowej wstrząsnęły naraz murami domu i przerwały naszą rozmowę. Zaczęto się popychać wzajemnie, w czem największy udział wzięli ci właśnie, których, obowiązkiem było temu zapobiegać. Tłum wszakże rozstąpić się musiał, aby przepuścić orszak, złożony z mężczyzn poubieranych dziwacznie, w okrągłe czapki i długie togi. Największy podziw budziła postępująca na czele osobistość, odziana w zieloną, obcisłą szatę, co ją zdala czyniło podobną do wielkiego, niekształtnego chrabąszcza.

Publiczność tłoczyła się do sali. Wziąłem pod rękę pana Metinier, wkroczyliśmy przebojem, torując sobie drogę łokciami i zdobyliśmy miejsce o kilka metrów od estrady.

Nie będę was nużył czytelnicy opowiadaniem szczegółów. Wszyscy muiej więcej uczestniczyli w tego rodzaju ceremoniach. Zresztą rozerwaną miałem uwagę, zajęty— według ulubionego mi zwyczaju — przyglądaniem się ładnym twarzom.

-ciło na znaczeniu i upadało. Rok rządów Wilczyńskiego był jednak zbawiennym. Wprowadzone w życie zebrania towarzyskie, t. z. rauty tak się przyjęły i podobały, że liczba uczestników gwałtownie zaczęła wzrastać. Wzorowo prowadzona administracya zapewniła Towarzystwu dobre podstawy bytu. W ciągu roku spłacono wszystkie długi, wynajęto wspaniały i obszerny lokal, sprawiono inwentarz, uzupełniono czytelnię. Oprócz zebrań towarzyskich, przyciągających szersze warstwy, obchodziło „Koło“ jubileusze Platona Kosteckiego i Brzozowskiego, przyjmowało członków zjazdu przyrodników, dalej Godebskiego Cypryana i Matejkę, urządzało kilka odczytów i pogadanek z zakresu literatury i sztuki. Słowem, toczyło się wartko. W tej chwili liczy ono przeszło 300 członków z pomiędzy najinteligentniejszych warstw stolicy, ma powszechną sympatyę i mogłoby wywierać wpływ bardzo poważny.

Jest jednak jedno *ale*. „Koło“ nie jest ani literackiem, ani artystycznem, chociaż tak się nazywa. Dla poruszenia bowiem Towarzystwa z zastoju i dla ocalenia go od suchot finansowych, przyjmowano członków, wprawdzie przeważnie z pomiędzy ludzi najwykształceńszych, ale niemających nic wspólnego ani z literaturą, ani ze sztuką. Kwalifikacya: „to bardzo porządny człowiek, będzie płacił wkładki“ — była nieraz dostateczną przepustką. To też żywioł takich nibyto miłośników literatury stanowi bardzo poważny procent uczestników a w niedalekiej przyszłości zawładnie niem zupełnie. Już teraz przy wyborach proponowano do prezydyum hr. Skarbka, który, jak wiadomo, o tyle ma związek z literaturą i sztuką, że jest kuratorem fundacyi Skarbkowskiej, właścicielki naszego teatru. Na razie upadł przy wyborach, ale niektórzy „miłośnicy“ przeszli a za nimi pójdą w przyszłości nowi. Wszystko to rokuje, że „Koło“ bardzo łatwo może zupełnie zatracić swój charakter a pozostanie jedynie resursą. Oczywista, że i resursa zwłaszcza taka, do której należą prawie wyłącznie jednostki najwykształceńsze, arystokracya inteligencyi, ma swoje znaczenie i jest bardzo pożyteczną. Co więcej sądziłbym, że może naszemu społeczeństwu oddać bardzo ważne usługi. Wobec braku życia towarzyskiego, tu byłby punkt zborny, na którym mogliby się zejść, poruszać i rozbierać sprawy obchodzące ogół wszyscy ci, których głosy i zdania ważą na szali a którzy takiego ogniska dotychczas nie mieli. W ten sposób niejedna kwestya mogłaby być przedmiotem ogólniejszej rozprawy i niejeden pożytek spłynąłby dla społeczeństwa.

Lecz wszystko to mogłoby się dziać i w „Kole“ rzeczywiście literacko-artystycznem. Przecież to znana prawda, że życie literacko-artystyczne nie bije w naszem społeczeństwie należytem tętnem i daleko stoi w rozwoju po za tem, co się dzieje w innych szczęśliwszych pod tym względem krajach Europy. Dlaczegoż więc nie podsycać go i nie ożywiać tam, gdzie są warunki po temu? Czują to i poważniejsi członkowie „Koła,“ bo chcąc ocalić je od zupełnej zatraty cechy literackiej, spowodowali na walnem zebraniu członków uchwałę, że ma ono corocznie wydawać *rocznik*, w którym mieścić się będzie sprawozdanie z całorocznego ruchu naukowego, literackiego i artystyczno-polskiego a w szczególności lwowskiego. Obecny wydział Towarzystwa ma to wydawnictwo wprowadzić w życie.

Ale po za tem, ileż ważnych przysług mogłoby oddać „Koło,“ gdyby chciało być literackiem i artystycznem! Podniesienie dziennikarstwa, rozbudzenie ruchu umysłowego, podejmowanie i popieranie wydawnictwa czasopism (Galicya nie ma *żadnego* tygodnika literackiego a szerokie masy karmią się lichymi pismidłami niemieckiemi), sprawozdania z utworów dramatycznych, literackich i artystycznych i co za tem idzie — stworzenie porządnej krytyki a wytrącenie pióra z rąk niepowołanych dyletantów, poważna kontrola i roztrząsanie wydawnictw popieranych pieniędzmi całego kraju, urządzanie dobrych wystaw dzieł sztuki (przed kilku laty była w „Kole“ wystawa szkiców bardzo udatna), kształcenie dobrego smaku itd. Takich poważnych spraw możnaby wyliczyć cały szereg a że sumiennych pracowników i teraz w „Kole“ nie zbraknie i do takich celów chętnie wielu przygarnąćby można, więc życzę gorąco, aby jego kierownicy wśród przyjemnych rautów nie zapomnieli, jaką instytucyą kierują.

Są u nas i inne Towarzystwa, co prawda, więcej specyalne, ale jakkolwiek specyalność ta nie przekracza ram dostępnych wykształconej jednostce, to jednak ogół nie dostarcza im należytego poparcia. Z jednej strony odstrasza charakter poważny, z drugiej brak należytego zrozumienia pożytku płynącego dla społeczeństwa z istnienia i rozwoju takich towarzystw. Wszystkie chronicznie chorują na brak funduszów. Ratuje je jaka taka zapomoga sejmu i wytrwała praca kilku ludzi dobrej woli. Dzięki temu żyją, oczekując lepszych czasów, zjawienia się jakiegoś hojnego mecenasa lub poparcia ogółu, gdy ten nareszcie przejrzy.

Towarzystwo przyrodników im. Kopernika doczekało się w ten sposób 17 lat istnienia. Założone przez profesorów Radziszewskiego, Staneckiego, Ciesielskiego, Strzeleckiego, Tynieckiego i Janotę zyskało sobie w ciągu tego czasu poważne uznanie, ale dla braku funduszów nie może należycie się rozwijać. Co dwa tygodnie odbywają się posiedzenia ogólne, na których wygłaszane bywają odczyty z rozmaitych gałęzi przyrodoznawstwa a rozprawy potrącają o najnowsze zdobycze wiedzy na tem polu. Po za tem działalność Towarzystwa skupia się głównie w wydawnictwie czasopisma *Kosmos*, które wytrwale redaguje prof. dr. Bronisław Radziszewski. Miesięcznik ten przetrwał już 16 lat istnienia w bardzo trudnych warunkach, rozchodzi się bowiem w 300 jedynie egzemplarzach. Zapomoga sejmu 400 złr., kasy oszczędności 200 złr. i skromne wkładki członków, których liczba wynosi obecnie 168, oto podstawy istnienia naukowego Towarzystwa i jego wydawnictwa. Na dorocznem walnem zebraniu, które odbyło się 19 b. m., żalił się prezes, prof. dr. Rehman, że brak funduszów nie pozwolił w ciągu 17 lat zająć się systematycznem badaniem kraju, że i *Kosmos* istnieje głównie dzięki redaktorowi i kilku chętnym pracownikom. Niestety i tych ostatnich liczba zeszczuplała znacznie a konkurencya innych pism fachowych polskich tej barwy, co *Kosmos*, utrudnia prowadzenie i wydawnictwo tego pożytecznego miesięcznika.

Ktożby uwierzył w istnienie takich stosunków, gdyby usłyszał, że prenumerata *Kosmosu* wynosi 5 zlr. i że członek Towarzystwa, wnoszący roczną składkę 6 zlr., pobiera je bezpłatnie! Czyż takie Towarzystwo nie mogłoby mieć w naszym kraju 1,000 członków, a choćby abonentów *Kosmosu*, pisma popularyzującego wiedzę a zawierającego nieraz artykuły ciekawe i dostępne dla szerokich warstw, że wspomnę choćby rozprawę prof. Dybowskiego „O wyspach Komandorskich?“

Najbardziej mię zdziwiło wystąpienie jakiegoś młodego człowieka przyjemnej powierzchowności z przemową długą, czytaną w obcym języku, który Metinier, będący niegdyś pilnym uczniem, nazwał łacińskim.

— Po cóż u licha — zapytałem go — ten młodzieniec nie popisuje się ze swą wiedzą w języku bardziej rozpowszechnionym, po francusku naprzykład?

Metinier zdawał się nad tem zastanawiać.

— Eh! eh! — objaśnił nakoniec z normandzką rozwagą—któż to wie? Rzecz mogłaby być mniej wygodną, a może nie wydałaby się równie piękną.

Ale ta uwaga nie przeszkadzała poczciwcowi udawać, że wszystko dobrze pojmuje; więc potakiwał mówcy uśmiechem od czasu do czasu i czynił jawne znaki zrozumienia w niektórych ustępach.

Umilkła nareszcie przemowa łacińska, która nie miała już powtórzyć się więcej, a orkiestra wojskowa wykonała skoczną melodyę, na odgłos której powstał zielony chrabąszcz.

Muzyka zagrała walca, ale go nie tańczono; tylko suchy jakiś człowieczek w złotych okularach, mocno łysy, zbliżywszy się z książeczką w ręku, zaczął wymieniać cały szereg nazwisk szczególnych, dziwacznych, które wywoływały w umyśle najróżnorodniejsze wspomnienia, a których istnienia ani się podejrzywało na tym świecie, na tej planecie dość błazeńskiej—nazwisk, które licowały wyśmienicie z wszelkiego rodzaju twarzami, bądź roztropnemi, bądź śmiesznemi, blademi lub pucołowatemi, gładkiemi i kosmatemi.

W miarę czytania wchodzili na estradę uczniowie, postępując jeden za drugim; otrzymywali oni wieńce i książki ze złoconymi brzegami, podczas gdy muzyka przygrywała kontredansa.

— Ale, ale — zagadnął Metinier—w której klasie jest pański krewny?

— W tej właśnie — odrzekłem bez wielkiej dumy, przyznaję.

Jak przystało na dobrego przyjaciela, mój towarzysz wytężył słuch, ba nawet zdjął rękawiczki, zapewne aby lepiej módz przyklaskiwać.

Niestety jednak, nazwisko mojej rodziny nie zostało wymówionem przez człowieczka w złotych okularach.

Metinier pojąć tego nie mógł. Spuszczał boleśnie oczy, rzetelnem współczuciem przejęty, a dla nadania sobie kontenansu, wkładał i zdejmował rękawiczki.

— Hebes, nieprawdaż? — rzekł, pochylając się ku mnie.

— Kto?

— Pański krewny.

— Prawdopodobnie, mój przyjacielu.

Przywołano następną klasę.

— Pierwsza nagroda: Planteau.

Na to imię nastawiłem uszy.

— Eh! eh! czy nie miałem słuszności — szepnął Metinier, trącając mnie łokciem.

Na estradzie, okrytej jaskrawym dywanem, ukazał się młody uczeń, trzynasto lub czternastoletni o twarzyczce inteligentnej i bystrej, o powierzchowności skromnej, budzącej od pierwszego wejrzenia żywe zajęcie.

Wziął książki w jedną rękę, wieniec w drugą i stał przez chwilę osłupiały przy odgłosie muzyki, która na cześć jego zagrzmiała, oraz oklaski, którymi go obsypywano ze wszystkich zakątków sali.

Jeden z panów przybranych w togi ujął chłopca za rękę i chciał go zaprowadzić do zielonego chrabąszcza, podnoszącego się właśnie z siedzenia. Chłopak jednak wysunął zwolna rękę, podziękował skinieniem głowy, zszedł z estrady bez pośpiechu i powrócił na swoje miejsce.

Nie ja sam zapewne byłem tem zdumiony.

Łysy człowieczek czytał dalej:

— Nagroda z historyi: Planteau.

Dzieciak powrócił na estradę, otrzymał znów wieniec i gruby tom: tym razem dał się uwieńczyć jakiemuś panu z białemi wąsami, oraz jakiejś równie niemłodej pani, która ze zbytniego wzruszenia wtłoczyła mu wieniec aż na ramiona.

— Otóż to są oni — zawołał Metinier, powstając z krzesła — to jego opiekunowie.

Ale trudno. Powie ktoś, zawsze to zbyt specyalne, nieraz dla zwykłego śmiertelnika, nawet bardzo wykształconego, niekoniecznie zrozumiałe i niebudzące interesu. Zapytam więc, czy lepiej dzieje się z Towarzystwem historycznem. Założone w jesieni roku 1886 przez grono uczniów prof. Liskego, trzeci rok chlubnie walczy z obojętnością szerokiego ogółu. Przecież nie jest tak specyalnem, jak poprzednie, przedmioty na zebraniach miesięcznych poruszane dostępne są i interesować powinny każdego wykształconego człowieka a organ Towarzystwa p. t. *Kwartalnik historyczny* oprócz krótkich rozprawek fachowych zawiera imponujący zbiór krytyk, recenzyi i sprawozdań z najnowszych dzieł i wydawnictw nietylko specyalnych, ale zawadzających o całą dziedzinę nauki historyi w szerszem znaczeniu. Kwartalnik ten pod redakcyą Liskego gromadzi najlepsze niemal pióra fachowe na polskiej niwie naukowej, kosztuje niewielką kwotę 5 złr. rocznie. A mimo to istnieje głównie dzięki gorliwej pracy i poświęceniu redaktora, przy pomocy grona uczniów, który w czasie prawie dwu dziesiątków lat ostatnich z jego szkoły wyszli i dzięki czynnemu poparciu niewielkiej garstki poważnych pracowników naszego świata naukowego. Towarzystwo liczy obecnie około 200 członków a zarazem abonentów kwartalnika, gdyż każdy członek otrzymuje go bezpłatnie a raczej za wkładkę do Towarzystwa wynoszącą również 5 złr. rocznie. I tu nie potrzebuję dodawać, że obojętność społeczeństwa jest co najmniej dziwną. Po za granicami kraju istnieją towarzystwa naukowe specyalne wszędzie, zaznajamiając członków z każdym objawem postępu wiedzy — u nas malutkie towarzystwa poważniejsze, które na palcach w całym kraju policzyć można, walczą o byt codzienny. Za granicą olbrzymie wydawnictwa, masy czasopism znajdują swoich mecenasów, abonentów, czytelników — u nas niewielka ich rzesza istnieje dzięki poświęceniu jednostek. Kiedyż pójdziemy naprzód i zrozumiemy dobro społeczeństwa, wartość wiedzy, konieczność dorównania obcym?

Leszek.

SPRAWY EKONOMICZNE.

DLA CUKROWNIKÓW.

Departament podatków niestałych opracował już szczegółowe przepisy, dotyczące opłaty akcyzy przez wytwórców cukru. Że wkrótce będą one zastosowane w praktyce, nie ulega wątpliwości, gdyż zostały wzmocnione potwierdzeniem p. Wyszniegradzkiego. Obecnie czasowo stosowane przepisy ulegną zmianom lub dopełnieniom w następujący sposób: 1) Zaliczona do skarbu akcyza od cukru powinna być najpierw wnoszoną do kasy państwowej w trzech terminach: 13 marca, 13 września i 13 grudnia. W pierwszym terminie należy zapłacić najmniej trzecią część, zgodnie z poprzedniem obliczeniem, dokonanem w lutym; w drugim — taką sumę, która razem z poprzednią stanowiłaby najmniej dwie trzecie całkowitego podatku; w trzecim terminie ostatnią część. 2) Niezależnie od wykonanego obliczenia wysokości całej akcyzy, wypłaconej w powyższych terminach, w każdej cukrowni powinien być przygotowany wstępny rachunek w ciągu lutego, lecz nie później jak do dnia 27 za cukier potrącony do tego czasu od początku kampanii. 3) W razie niewnoszenia we właściwym czasie akcyzy i niedoborów ciążących na wytwórcy, poczynając od każdego z terminów, przed skończeniem wypłaty długu, dodaje się na każdy miesiąc po 2%, przyczem niecały miesiąc będzie się uważał za cały. 4) Patent na nową produkcyę nie może być wydawany przed wniesieniem przynajmniej $^2/_3$ całej akcyzy i pokrycia wszystkich niedoborów. 5) Powyższe przepisy powinny być zastosowane, poczynając od kampanii 1889—90 r. 6) Ze względu na czas przejściowy od dawnej do nowej ustawy, minister skarbu zaleca: na 1 września 1889 r. do kasy rządowej trzeba wnieść najmniej $^2/_3$ akcyzy, należnej za okres 1888—89 r., jednocześnie powinny być zapłacone wszystkie ciążące na wytwórcy niedobory i długi rozmaite; w przeciwnym razie nie wolno mieć patentu na dalszą produkcyę. Ostatnia część akcyzy powinna być wniesioną na 1 grudnia 1889 r. 7) Cukier ruskiej produkcyi, skierowany do portów nadmorskich, podlega opłacie akcyzy na ogólnych zasadach, przyczem od ministra skarbu zależy ustanowienie porządku wywozu cukru do portów oznaczonych i wydawanie świadectw o pochodzeniu tego produktu. Zastosowanie powyższych przepisów niewątpliwie spowoduje ważne zmiany w przemyśle cukrowniczym. Nie jest dziś tajemnicą, że wiele cukrowni obciążonych jest zastarzałymi długami rozmaitego gatunku, z których wybrnąć nie jest łatwo. Jeśli więc nowe przepisy z całą ścisłością swego brzmienia wejdą w wykonanie, wiele fabryk zachwianych ostatecznie upadnie. Ponieważ zaś tego rodzaju cukrownie należą do kapitalistów o szczupłych środkach, prawdopodobnie więc, według długoletnich życzeń, będą tryumfować wybitniejsi materyalnie wytwórcy.

ROBOTNICY WIEJSCY.

Czytelnicy zapewne sobie przypominają, jakie to przed laty kilku brzmiały straszne lamenty ze strony chlebodawców na „wyzyskiwanie" ich przez... robotników wiejskich. Wielu utrzymywało, że póki „nadużycia i zuchwalstwo" najemników nie będą ukrócone, póty niepodobna marzyć o polepszeniu bytu ekonomicznego. Krążyły nawet takie zdania: „Robotnicy nas rujnują, rolnictwo upada i ostatecznie upadnie z ich przyczyny!" Zbierano skrzętnie fakty; gdzie były jakie wypadki pojedyncze istotnych win, wyciągano je z gorliwością godną lepszej sprawy i rozwałkowywano jaknajszerzej. Skargi zaczęły pojedynczo, później zbiorowo dochodzić do władzy wyższej. Rezultatem tego było wydanie przed dwoma laty przepisów, ochraniających chlebodawców od nadużyć i wyzysku robotników wiejskich. Naraz ucichły narzekania i o sprawie tej głośno i publicznie rzadko już gdzie mówiono. Czegóż to dowodzi? Że przepisy bardzo się szczęśliwie i ogólnie przyjęły, że zabezpieczeni od wyzysku posiadacze ziemscy jęli spokojnie i skutecznie poprawiać swój byt ekonomiczny? Tem bardziej mogli oni być uszczęśliwieni, że według przepisów robotnik jest karany nietylko za stratę lub zniszczenie przyborów gospodarczych, za niesumienne wykonywanie przyjętych na się obowiązków, ale nawet za niegrzeczne znalezienie się, nieokazywanie szacunku dla pana i jego rodziny. Prawo wprowadziło t. zw. karty rozpłat (*razszczotnyje listy*), które służyły dla robotników niejako i za paszporty, zabezpieczające gospodarzów od wyłamywania się z pod przyjętych zobowiązań przez pracowników. Czy też istotnie ten środek tak

---

Przyznaję, że z osobliwszem zadowoleniem przyglądałem się tej parze zacnych mieszczan, którzy powodzenie młodego ucznia skrapiali łzami radości.

„Ale tamten, pomyślałem, ojciec! gdzie się też znajduje w tej chwili?"

I byłem do tyla naiwnym, że go szukałem wzrokiem śród otoczenia.

Nagrody rozmaite otrzymywał w dalszym ciągu Planteau, to znów na przemian jacyś inni, całkiem mi obojętni malce. Zaczęło mię to nużyć... Nadto nie chciałem się narażać na ścisk przy wyjściu.

— Czy pozostajesz? — zapytałem pana Metinier.

— Zmuszony do tego jestem — odpowiedział mi — ponieważ mam stąd zabrać siostrzeńca.

Uścisnęliśmy się i wyszedłem bez wielkich trudności, depcząc po drodze różne nieznane mi stopy.

Znalazłszy się na ulicy, szukałem dorożki, abym mógł powrócić do domu.

Zrazu spostrzegłem same tylko prywatne powozy z lokajami w białych rękawiczkach i okazałymi stangretami w liberyi; powypasani i nadęci, siedzieli oni na swych kozłach sztywnie, niby do nich przykuci, każdy z szyją wyprostowaną, nieruchomą i okoloną ugalonowanym kołnierzem, godłem swego służalstwa.

Szedłem trotuarem wzdłuż całego tego szeregu karet, breków, amerykanów, powozów; następnie skręciłem w wązką ulicę, gdzie się on przedłużał jeszcze i na samym końcu, nieco opodal za tymi świetnymi ekwiparzami ujrzałem stojącego pokornie, mojego woźnicę Planteau, ze swym szkaradnym koczobrykiem i lichym koniem, który mi się obecnie wydał nędzniejszym, niż przedtem. Zgarbiony, z głową zwieszoną, zdawał się Planteau zamyślonym, a może to zamyślenie było po prostu snem.

Nasunęła mi się nagle myśl.

— Tak istotnie, byłoby to zabawne! Mówił mi, że jest zamówiony. Może oczekuje na swego syna....

Zwolniłem kroku i zdjęty ciekawością, nie miałem chęci oddalić się zaraz. Chodziło tylko o to, gdzieby się skryć.

Spostrzegłem na prawo zakratowaną bramę od parku, należącego do kolegium, którą opuściłem przed chwilą. Wszedłem bez ceremonii i podążyłem wzdłuż muru wewnętrznego, ku małemu kioskowi, służącemu widocznie za skład narzędzi ogrodniczych, gdyż wyglądały z po za okratowania.

Wśliznąłem się do wnętrza. Wysokie żaluzye były zamknięte, zarówno jak i znajdujące się o parę schodków niżej małe drzwiczki, prowadzące na ulicę. Aby się lepiej ukryć, spuściłem stor na lewo i przyczaiłem się za okienicami. W taki sposób mogłem widzieć wszystko, nie będąc sam widzianym. Wprost naprzeciwko mnie, trochę tylko poniżej, siedział spokojnie dumający, czy też drzemiący na swym koźle dorożkarz.

Chodnik był tak wązki, że z miejsca, w którem się znajdowałem, moglibyśmy byli podać sobie ręce.

Czekałem ukryty w mojej framudze.

Wtem nagle dźwięki muzyki, dotąd przytłumione i niewyraźne, zabrzmiały wspaniale, jak gdyby się naraz wydostały na wolność — i jednocześnie powstał wśród tłumu ruch. Konie rżały, powozy zaczęły się ruszać z miejsc swoich.

Za pierwszym odgłosem muzyki stary dorożkarz ocknął się i podniósł głowę. Oczy, w których zabłysnął płomień, utkwił w jeden punkt, widocznie bardziej oddalony, zapewne w zakręt ulicy.

Nagle zbladł; ręce jego zaczęły drżeć nerwowo. Stanął na koźle, ruchem gorączkowym szarpnął swą siwą brodę, wyciągnął bat z pochwy, schował go napowrót, pochylił się, starł siedzenie i dreptał wciąż przez chwilę na miejscu. Słyszałem nawet dość wyraźnie oddech jego krótki, ciężki i świszczący — słowem, oddech astmatyka.

Nie było żadnej wątpliwości, że syn jego przybywał. Wetknąłem nos w okienice i wytężyłem całą uwagę.

Istotnie, niedługo dał się słyszeć cichy odgłos kroków, szybkich i lekkich, jakzwykle u dziecka.

Dorożkarz zeskoczył z kozła, otworzył raptownie drzwiczki — i spostrzegłem mło-

cudownie podziałał w ciągu dwóch lat? W ostatnich czasach ministeryum spraw wewnętrznych poleciło władzom gubernialnym i innym dostarczyć danych z zastosowania w praktyce prawa o robotnikach i oto jaki rezultat: Okazało się, że w kraju południowo-zachodnim, posiadającym około siedmiu milionów mieszkańców, w ciągu całego czasu działania przepisów, najmujący i najmici rozebrali ogółem 17,454 blankietów na umowy i rozrachunki, a użyto z nich tylko 7,198, tj. po 3,599 na rok. Tymczasem prowincye południowo-zachodnie posiadają najmniej 300,000 robotników, tj. że z wyjątkiem malutkiego procentu cała masa pracuje według dawnej rutyny i pomimo to niema skarg na nieuczciwość i wybryki, które dawniej były. Jakiż stąd wniosek? Że te cechy ujemne klas pracujących, co „podkopywały byt ekonomiczny chlebodawców,“ były przeważnie zmyślone, skoro się można obejść bez tego wędzidła wybłaganego, które w wielu punktach zapewne niezbyt może być wygodne i dla samych gospodarzów.

NARADY.

W ostatnich czasach warszawski oddział Towarzystwa popierania przemysłu i handlu roztrząsał kilka bardzo ważnych spraw. Pierwsza z nich, oddawna już niepokojąca naszych wytwórców — *gorzelnictwo*. Radzono nad niem już wiele, ale mało dotychczas wprowadzono środków zaradczych. Na ostatniem posiedzeniu także się przekonano, że „ogólna dyskusya do niczego doprowadzić nie może.“ Postanowiono więc wybrać delegacyę, która ma opracować projekt odpowiedni na mocy przykładów krajowych i zagranicznych, oraz na znajomości stosunków miejscowych i handlu zagranicznego. Do delegacyi powołano zarząd Towarzystwa rektyfikacyi i sprzedaży spirytusu, oraz przedstawicieli mających jechać do Petersburga, w celu głębszego poznania sprawy. Na posiedzeniu zwrócono uwagę, że do gorzelni rolniczych należałoby zaliczyć także wytwarzające więcej niż 24,000 wiader 40-stopniowych, lecz zużywające tylko własny materyał surowy. Dalej poruszono sprawę nadprodukcyi obecnej i mogącej wyniknąć w przyszłości skutkiem zakładania gorzelni małych (według projektu), a więc ostatecznie położono nacisk na potrzebę ograniczenia w ten sposób produkcyi w kraju. Jak widzimy, przedstawiciели większego przemysłu gorzelniczego nie przestaje dręczyć rzucona przed kilku miesiącami myśl zakładania t. z. małych gorzelni. Dlatego też na wszelkich posiedzeniach przy lada sposobności starają się „poddawać dyskusyi“ ten przedmiot nieznośny. Zobaczymy, jaki osiągną rezultat. Dalej mówiono wiele o premiach wywozowych dla spirytusu „denaturowanego,“ o nacisku ze strony towarzystwa gorzelniczego, o uzyskaniu w drodze prawodawczej unormowania produkcyi itd., ale ostatecznie nic, oprócz utworzenia delegacyi, nie postanowiono, coby mogło istotnie oddziałać pomyślnie na rozwój tej gałęzi produkcyi.

Drugą ważną sprawą było *stolarstwo*. Po przedstawieniu pewnych danych przekonano się, że nie jest ono u nas w kwitnącym stanie. Najważniejsze tu: brak wykształcenia odpowiedniego, nadmiar pracowników niezdolnych, tandeta, ciężkie warunki kredytowe. W tem rzemiośle zachodzi nadto ważny szkopuł skutkiem materyału surowego: trudności dostania suchego drzewa, brak w handlu gotowego materyału potrzebnych wymiarów, drożyzna i niedokładne przygotowania forniru itd. Z pomiędzy kierunków wykształcenia potrzebnych w stolarstwie, kładziono wielki nacisk na naukę rysunków. W zakresie tym nie brakowało przeróżnych projektów. Ostatecznie postanowiono czynić starania celem założenia odpowiedniej szkoły rysunkowej.

Z. P.

LITERATURA I SZTUKA.

Z NIEMIEC.

3 marca.

Z literatury filozoficznej: „Krytyka czystego doświadczenia,“ profesora Ryszarda Avenariusa. — Z poezyi: „Działalność poetycka Wilhelma Jordana.“

Literatura filozoficzna niemców wzbogaciła się dziełem oczekiwanem od lat dwunastu przez wszystkich jej miłośników. Ryszard Avenarius, profesor zurychski, który wraz z Wilhelmem Wundtem wydaje kwartalnik filozoficzny p. t. *Vierteljahrschrift für wissenschaftliche Philosophie*, a przez wielu stawianym był niemal na równi z nim, chociaż od lat dwunastu żadnej znaczniejszej nie ogłosił był rozprawy, wywiązał się z przyrzeczenia, jakie milcząco złożył w pierwszej swej pracy, która zwróciła na niego uwagę ogółu naukowego. Pracę tę, ogłoszoną w r. 1876 p. t. *Philosophie als Denken der Welt gemäss dem Princip des kleinsten Kraftmaasses*, nazwał był sam „Prolegomena zu einer Kritik der reinen Erfahrung.“ Przy pomocy zasady wziętej od Zöllnera *), wywodził on, że bezpośrednim dziś przedmiotem badania filozoficznego powinna być czysta treść doświadczeń naszych, że rozwój filozofii nowożytnej nie przedstawia nic innego, jeno ciągłe uwalnianie doświadczeń z przymieszek podkładanych im przez przedmiot poznawający. Dla czystego doświadczenia czucie tylko ma byt realny. Wykazując, jakie postępy dokonano przez analizę pojęć zasadniczych, nie z doświadczenia wziętych, ale raczej objaśniających doświadczenie, jak np. substancya, materya, przyczyna, dusza, wyznaczał Avenarius filozofii jako zadanie najbliższe dokończenie tego wielkiego dzieła oczyszczania pojęć naszych z wszystkich składników zawierających nie prosty opis doświadczenia, ale ich objaśnienie. Spodziewano się tedy, że Avenarius, który za przykładem Kanta wydał był „Prolegomena,“ ogłosi po pewnym czasie *Krytykę czystego doświadczenia*, podobnie jak Kant wydał był *Krytykę czystego rozumu*. Istotnie po latach dwunastu wystąpił z pierwszym tomem. Kant był dla niego wzorem nawet co do układu dzieła, gdyż Avenarius określa czyste doświadczenie najpierw *syntetycznie*, następnie *analitycznie*. Pewne części otoczenia naszego w takim pozostają stosunku do jednostek ludzkich, że jednostki opisują je jako swe doświadczenie; wypowiedziane to doświadczenie będzie czystem, skoro nie zawiera niczego, co założeniem nie opiera się na owych częściach otoczenia. Oto definicya syntetyczna. Analitycznie określić można czyste doświadczenie, jako niezawierające niczego, coby samo nie było doświadczeniem. Krytyka czystego doświadczenia odpowiedzieć winna na trzy pytania (przypominające znowu Kanta):

1) W jakiem znaczeniu i w jakim zakresie części otoczenia naszego uchodzić mogą

*) Zob. dzieło tegoż: *Ueber die Natur der Kometen*, Beiträge zur Geschichte und Theorie der Erkenntniss. Lipsk, 1872.

---

dego, znanego mi ucznia, który nadbiegał pospiesznie. Ręce jego dźwigały stos książek, a u lewego ramienia zwieszały się wieńce.

Przybywał prawie bez tchu, upojony tryumfem — i w swej naiwnej, iście dziecięcej radości zawołał głośno do starego dorożkarza:

— Tatku, tatku! Dostałem ich cztery!

— Cicho nieszczęsny! — głosem przytłumionym zawołał ojciec; cicho bądź!

I bojaźliwie, ukradkiem, rozglądał się dokoła... Na szczęście nie dopatrzył nikogo.

Więc zbliżył się i swą grubą, zwiędłą ręką, która dygotała, brał książki jedną po drugiej i ze czcią pobożną układał je na poduszkach powozu.

Gdy odbierał wieńce, zdawało mi się, że się pochylał i przelotnie dotykał ich ustami.

Chłopię przyglądało się temu zajęciu milcząc, widocznie wzruszone.

Skoro wszystko było w porządku, poczciwina z miną zafrasowaną, spuścił przednią szybę, dał znak chłopcu, by usiadł, sam się również wdrapał na kozioł i nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, kręcił się, odwracał, rzucając wokoło ukradkowe wejrzenia. Nagle pochyliwszy się do okienka, zapytał:

— Eugeniuszu, ile powiedziałoś?

Z głową opuszczoną, zgięty we dwoje, wsparty łokciami o swe siedzenie, czekał.

— Cztery, tatku! Nagroda pierwsza, nagroda...

Ale dorożkarz nie słuchał go już...

— Cztery! — szeptał, wciąż ku okienku przechylony, cztery! Czy być może! Jak to pięknie, mój Boże, jakże to pięknie!

I stary dorożkarz, wyprostowawszy się, stanął na równe nogi, z dumą komizmu pełną, rzucił wyzywające spojrzenie tym wszystkim pysznym powozom, do których obecnie wsiadali uczniowie szlachetnie urodzeni, ale z próżnemi rękami.

— Tatku, tatku! — zawołał głosik z po za okienka.

Odwrócił się, jakby sprężyną poruszony.

— Tatku, uwieńcz mnie, prosiło dziecię, klęcząc na przedniej ławeczce.

— Co?.. Czego chcesz? — pytał poczciwiec, niezdający się rozumieć, o co chodzi.

— Uwieńcz mnie — powtórzył chłopak trzymający swe wieńce.

— Ah! tak... tak... istotnie... wyjąkał ojciec.

I układając się, jak mógł najdogodniej, przykucnąwszy, wpół leżąc, z kolanami wspartemi o siedzenie, uczepiwszy się jedną ręką o krawędź kozła, wyciągnął drugą ku synowi...

— Weź ten oto, wieniec pierwszej nagrody, szczebiotał malec.

Ciężki, sterany dorożkarz wziął wieniec, wychylił swą wielką siwą głowę przez okienko, uwieńczył skronie syna, ucałował go w oba policzki — i z miną na poły uroczystą, na poły pocieszną, lecz głosem głęboko wzruszonym rzekł:

— Dobrze moje dziecko... bardzo dobrze... bardzo dobrze.

W tej chwili pchnąłem drzwi i wyszedłszy ze swej kryjówki; znalazłem się na środku chodnika wprost powozu.

Stary dorożkarz był już na stanowisku. Powolnym, swobodnym ruchem zebrał cugle, pochylił się ku swemu młodemu pasażerowi, który właśnie był usiadł i głosem niedbałym, przeciągłym, z akcentem właściwym ludziom tego rodzaju, wycedził:

— Rozumie się mały obywatelu, pojedziemy.

Wyciągnął bat z pochwy, zaciął konia i potworna machina ruszyła z miejsca, skrzypiąc na zardzewiałych osiach. Postępowałem tuż za nią, bez najmniejszego wysiłku.

Skręciła następnie na rogu ulicy i zatrzymała się przed kolegium, by zabrać dwoje staruszków o białych włosach, których z latwością poznałem.

Obojętny, z miną ospałą czekał dorożkarz, aż się drzwiczki zatrzasną; poczem podpędził znów szkapę i zniknął w tłumie.

---

wogóle jako założenia doświadczenia naszego?

1) W jakiem znaczeniu i w jakim zakresie wartości wypowiedziane uchodzić mogą wogóle za doświadczenie?

3) W jakiem znaczeniu i w jakim zakresie różni się pojęcie syntetyczne od pojęcia analitycznego, a w jakiem przypuścić można ich tożsamość?

Tom pierwszy daje odpowiedź na pierwsze tylko pytanie. Dochodzi do niej autor drogą analizy przypuszczenia, czynionego pierwotnie przez wszystkich niemal ludzi, a zarzucanego następnie wskutek rozważań. Analiza ta polega na obserwacyi i opisie osobników ludzkich, ich otoczenia, oraz związku zachodzącego pomiędzy jednostkami a otoczeniem.

Podczas gdy w „prolegomenach" Avenarius zajmował stanowisko wspólne większości współczesnych filozofów, iż czucie tylko może dla nas być realnem, dziś polemizuje on z tem rozkładaniem przedmiotów i zdarzeń na czucia. Według niego, nie należy zarzucać naturalnego sposobu patrzenia na świat dopóty, dopóki to się nie okaże wprost niezbędnem. Każda jednostka ludzka spostrzega pierwotnie otoczenie wielorako złożone, inne jednostki wypowiadające pewne doświadczenia, oraz pewien związek między twierdzeniami ludzi a otoczeniem. Zanim filozofia rozprawiać może o realności tych spostrzeżeń i prawdzie przypuszczenia powszechnego, że to, co spostrzegamy, istnieje, powinna rozwinąć naprzód wszechstronnie treść owego zasadniczego przypuszczenia i opisać związki spostrzeżone w otoczeniu. I tu znów z całym naciskiem rozwija Avenarius postulat— według nas stanowiący najdonioślejszy wynik jego pracy — aby zarzucić na razie wszelkie w filozofii objaśnianie, zwracając się wyłącznie ku opisywaniu. Postulat ten uzasadnili dla nauk przyrodniczych przed Avenariusem Mach i Kirchhoff; Avenarius, zastosowując go w filozofii i dla wszystkich dziedzin, zaznacza różnicę zachodzącą między jego punktem wyjścia a filozofią Kanta: podczas gdy Kant stawia na pierwszem miejscu pytanie o „możliwości pewnych rodzajów poznania," zaniedbując „ogólny opis poznawania, co do natury i związków jego," Avenarius przeciwnie zwraca się ku ogólnemu opisowi poznawania. Tak więc krytyka czystego doświadczenia rozpoczyna teoryę poznania ludzkiego, która — według Avenariusa — będzie podstawą dla psychologii, pedagogii umiejętnej, logiki, etyki, estetyki, filozofii prawa, ekonomii społecznej i nauki o językach. W teoryi tej wychodzi Avenarius z poglądu zasadniczego, że otoczenie nasze składa się nie z widziadeł i cieni pustych, ale przedmiotów określonych fizycznie i chemicznie, z jednostek ludzkich określonych anatomicznie i fizyologicznie; że twierdzenia ludzkie są nie dźwiękami próżnymi, ale symbolami spostrzeżeń, wspomnień i myśli. Atoli dla empirio-krytycznego założenia jego nie istnieją pojęcia materyi, przyczynowości, wolności, fenomenalności lub realności, wzięte nie z otoczenia, ale z ducha filozofów.

Wszystkim tym wywodom Avenariusa przyklasnąć można. Z zajęciem też czytelnik każdy wyczekuje zapowiedzianego opisu poznania naszego. Wybaczy chętnie autorowi, że zaczyna nagle mówić o zmianach mózgu ludzkiego, które opisywać należy, tem bardziej, że zaznacza, iż nie zamierza żadnych czynić przypuszczeń co do zależności doświadczeń i twierdzeń naszych od owych zmian mózgu. Twierdzi jednak, że gdyby się udało zbadać procesy zachodzące w centralnym organie systemu nerwowego, rzucićby można światło jasne nietylko na życie psychiczne ludzi żyjących współcześnie, ale zarazem na umysłową działalność dawnych i przyszłych pokoleń, poznać cel, do którego zdąża myślenie ludzkie, podobnie jak geologia odkryła dawniejsze formy ziemi naszej i przepowiada przyszłą jej postać. Wysoko tedy podnosi autor oczekiwania czytelników; ale zamiast wystąpić z opisem owych zmian mózgowych, oznajmia nam smutną wiadomość, że dotychczas nie udało się zbadać przebiegu najprostszego pobudzenia nerwowego we wszystkich częściach i związkach jego. Zdawałoby się więc, że Avenarius pracę swą przerwać musi na czas nieokreślony, aż fizyologia mózgu dostarczy mu materyałów potrzebnych. Byłby to wprawdzie zawód uczyniony czytelnikowi, ale kto wie, czy podobne zawieszenie pracy nie byłoby z większą dla nauki połączone korzyścią, aniżeli surogat, jakiego dostarcza autor. Nie posuwając ani o krok nauki o procesach mózgowych na podstawie własnych badań — przypomnieć należy, że Wundtowi fizyologia mózgu zawdzięcza nie tyle hipotezy i teorye, ile odkrycia istotne — Avenarius formułuje to, co dotychczas odkryto, w sposób niby ścisły, mający ułatwić zoryentowanie się na polu pracy mózgu ludzkiego; przedstawia cały system znaków symbolicznych, oddając się złudzie, że tem samem wprowadza do badań swych ścisłość matematyczną; żąda od czytelnika przyswojenia sobie nowej terminologii filozoficznej, mającej posiadać tę korzyść, że usuwa ona wspomnienie dawnych, mylnych teoryj. I tak *Krytyka czystego doświadczenia* znakiem R wyraża „wszelką wartość, przystępną opisowi, przyjmowaną jako część otoczenia naszego"; suma wszystkich wartości, wyrażanych znakiem R, stanowi *system* R. Części otoczenia pozostawać mogą z organizmem ludzkim w stosunku materyi pouczającej (Unterrichtsstoff) lub odżywczej (Nahrungsstoff). „Wszystko, co z zewnątrz wprowadza się do organizmu, a co przemianę materyi jego warunkuje," wyraża się symbolem S; symbol R zaś odpowiadać będzie zarazem wszystkiemu, co poruszyć może nerwy jako pobudzenie ogólne lub specyficzne. Wszelką wartość, stanowiącą treść twierdzenia jednostki ludzkiej, wyrażamy symbolem E. Każde E zależy z jednej strony poniekąd od R lub od S, z drugiej od systemu nerwowego, wyrażanego symbolem C. C jest systemem, rozpadającym się na systemy częściowe; E zależy od zmian systemów częściowych systemu C. Zmiany te, spowodowane przez R, stanowią klasę f(R); zmiany spowodowane przez S, stanowią klasę f(S). f(R) i f(S) przeciwdziałają sobie wzajemnie, f(R) pobudzając nerwy, zużywa je, f(S) odżywia je. System C podlega więc oscylacyom pod względem siły swej żywotnej; maximum siły tej osiąga w chwili, kiedy f(R) równem jest f(S), tak iż stan jego określić można równaniem: $f(R)+f(S)=O$. O ile zmiany f(R) nie są równoważne ze zmianami f(S), system C ulega wahaniom (Systemschwankungen); wahania owe mogą być dodatnie dla organizmu (pozytywne) lub ujemne (negatywne). Przeprowadzając zaś równanie $f(R)+f(S)=O$ w stan nierówności $f(R)+f(S)\neq O$, przechodzimy przez wszelkie możliwe oscylacye systemu nerwowego; i na tem właśnie polu fizyologia mózgu badania swe rozwinąć powinna; dyskusya równania powyższego powinnaby rozświecić wszelkie tajemnice pracy mózgowej. Atoli Avenarius, czując niezawodnie, że drogą dyskusyi matematycznej osiągnąć można rezultaty wówczas tylko, jeżeli mamy parę ilości dokładnie określonych, podczas gdy R i S są symbolami nie określającymi bynajmniej rzeczy dokładnie zbadanych, urywa tu wywód swój, a natomiast z innego punktu widzenia roztacza inny szereg nowych niby i płodnych pojęć. Mówi o kombinacyach części otoczenia, $R_1, R_2 .— .R_n$, o szeregach wyższego rzędu, o szeregach pierwszego, drugiego, x-rzędu, o jakościach ostatecznych systemu (Endbeschaffenheiten), słowem, tworzy cały system terminologiczny, który wiadomości nasze o poznaniu nie pogłębia ani nie rozjaśnia, ale owszem w mniej dostępnej ujmuje je formie *).

Wyznajemy otwarcie, że dla nas książka Avenariusa była rozczarowaniem. Po autorze „Prolegomenów" spodziewać się było można myśli płodnych, wielkich, lub pracy zmudnej, ścisłej, uwieńczonej plonem realnym. Więc to ma być ową filozofią umiejętną, o której Avenarius mówi w swym kwartalniku; i to jest rezultatem badań myśliciela, który wystąpiwszy po Comcie, „filozofię umiejętną" niemców uważał jako postęp od „filozofii pozytywnej" francuzów! Prawdziwie jest to bolesnem, że on, który oddychał atmosferą filozofii pozytywnej, w wielkiem dziele, stanowiącem owoc jego życia, powtarza niemal to, co przed dwoma wiekami sformułował Spinoza w swej *Etyce*. Ta sama u Spinozy nauka o zmianach duszy ludzkiej, o jej składnikach, o zdolności zachowania bytu swego; to samo złudzenie, że forma matematyczna nadaje ścisłość i znaczenie niezmienne pojęciom niedokładnie wyjaśnionym. Z filozofów niemieckich Herbert w psychologii matematycznej, oraz Fechner w psychofizyce, wyrażali przynajmniej znakami matematycznemi rezultaty własnych badań, rozświecające istotnie pewne dziedziny mechaniki mózgu; Avenarius niczego nie odkrył, a jednak zrównanie $f(R)+f(S)=O$ traktuje jako rzecz o niezwykłej naukowej doniosłości. O narodzie myślicieli! Niechby was mniej było — ale większych!

Niewiele pozostało nam miejsca dla literackich nowości na polu literackiem. Odkładając do następnego listu świeże powieści i dramaty, dziś konsekwentnie znudzić nam wypada czytelników, poświęcając słów parę pamięci Wilhelma Jordana, którego ostatnie dzieło *Zwei Wiegen* oceniliśmy w jednym z listów poprzednich. W lutym obchodzili niemcy siedemdziesiątą rocznicę urodzin poety, którego fizyognomia umysłowa budzi zajęcie i uszanowanie. Z współczesnych epików niemieckich, Jordan reprezentuje styl najwyższy. Wprawiał się na Homerze, którego Odyseę i Iliadę przetłomaczył wzorowo, prześcigając Vossa, Donnera, Minkwitza, Wiedascha i Osterthala; o studyach jego świadczy też rozprawa „Das Kunstgesetz Homers und die Rhapsodik." Powziął on jako młodzieniec myśl, którą wykonał jako człowiek dojrzały, po zmudnych i rozległych studyach: zebrał pomniki poezyi epicznej dawnych niemców, uzupełnił je i połączył w całość p. t. *Nibelunge*. Olbrzymi ten poemat odczytywał autor ułamkami we wszystkich większych miastach niemieckich, wznawiając zwyczaj dawnych rapsodów. W ten sposób usunął wątpliwości krytyków, ażali poczya epiczna dawnego stylu da się wznowić dla pokoleń przyszłych; jego to bowiem zasługą, że *Nibelungami* zajmują się w Niemczech nietylko uczeni, ale publiczność najszersza. Mniej popularnym jest drugi wielki utwór Jordana, zatytułowany *Demiurgos*. Jest to poemat filozoficzny, oparty na gnostycyzmie, nieprzystępny zarówno w myśli przewodniej, jak w formie. Mało w nim poezyi prawdziwej; jednak miejscami rozwija autor niepospolitą siłę filozoficzną. Niewysłowionym czarem otoczoną jest scena, odgrywająca się w kościele chrześciańskim pewnej nocy: marmurowa postać Wenery, wstawiona do kościoła jako wizerunek Ewy, budzi się o północy i przypatruje obrazowi Chrystusa ukrzyżowanego. Przejęta współczuciem i uwielbieniem, ugina przed nim kolana, zapytując:

„Wer bist du, wunderbarer Halbgott,
Der mir die Ehrenstelle nahm?"

Chrystus odpowiada jej, tłomaczy misyę swą i treść nauki swej; ale bogini grecka,

*) Tworzenie takich labiryntów ma tylko ten skutek, że odstrasza ludzi do zaglądania do filozofii. W tem zaś odstraszaniu główna zasługa należy się niemcom. *Red.*

nie rozumiejąc ewangelii, powołuje się na wesołą, piękną zmysłowość wiary greckiej. Wówczas przemawia Madonna z ponad ołtarza, ogłaszając pojednanie chrześciaństwa z przyrodą.

Jako liryk wystąpił Jordan w zbiorkach: „Glocke und Kanone“ (1841), „Schaum“ (1846), wreszcie „Strophen und Stäbe“ (1871). Tragedye jego: „Die Wittwe des Agis“ i „Artur Arden“ nie miały powodzenia; natomiast wszystkie niemal sceny niemieckie wystawiły komedyę jego „Durch's Ohr.“ Zawsze trzymał się wzorów najlepszych; podobnie jak w poezyi epicznej naśladował Homera, dawnych rapsodów niemieckich i Danta, tak w dramatach swych szedł za Shakespearem.

Ladawa.

CHOROBA WIEKU.

Smutną i drażniącą książkę — w formie studyum fizyologicznego o woli — przynosi nam autor krzykliwych nieco, ale, bądź co bądź, oryginalnych *Paradoksów* i *Kłamstw konwencyonalnych*. Smutny to dokument życiowy, gdyż dotyka rany głęboko rozwartej i stanowi jakby epopeę nowożytnej choroby moralnej, która, wespół z pesymizmem wkradłszy się jak pierwiastek rozkładający w organizm ludzki, niszczy najżywotniejsze jego siły, obezwładniającą rozpaczą i beznadziejnym wysiłkiem staje między człowiekiem a warunkami jego bytu.

Dyagnozę złego, nurtującego społeczeństwo, stawiali w danych epokach różnej miary pisarze, a fakty życiowe i społeczne, popędy umysłowe i zmysłowe, przechodząc przez ich wyobraźnię, jak przez alembik alchemisty, nabierały dopiero wtedy barw i charakterystyki właściwej, gdy były pochwycone z natury w całej swej nagocie i prawdzie. Werteryzm pierwszej połowy naszego stulecia znalazł wspaniałego historyka w Alfredzie Mussecie, a wieszcza intuicya poety wyśpiewała w *Spowiedzi dziecka wieku* swój gorżki hymn samolubnego zrozpaczenia i niewiary. Nasza epoka, niespokojna, burzliwa chwila wielkich duchowych i społecznych przewrotów, w której umysł człowieka, wyzwolony z pęt egoistycznego nad samym sobą żalu, wspiął się ku wyżynom zagadnień ogólno-ludzkich; ludzie dzisiejsi, zużywający krew i mózg w namiętnych walkach o byt i ciężkich zapasach ekonomicznych, dostali się pod skalpel fizyologów, którzy patologiczne wyniki rozpaczliwej pogoni za prawdą i szczęściem przedstawili w całym szeregu odmian chorób woli, począwszy od zniechęcenia i nudy, a skończywszy na stanie, przez Ribota mianem paraliżu psychicznego określonym. Pisarze ci, zapatrzeni w nędzę i bezsilność człowieka, z natury już rzeczy poddać się musieli wpływom chorobliwego pesymizmu, tworząc z nieuleczalnej, a zgryźliwej melancholii, właściwe tło swoich obrazów, hasło swej wiary, jedyną, rzec by można, poezyę, kryjącą pod swoim szarym całunem, jątrzące się rany i niezdrowe miazmaty dziejów smutku, bólu i upodlenia...

Ponure widmo oblekło swój żal serdeczny nad bezwładnością wiecznie łaknącej i wiecznie cierpiącej istoty ludzkiej, w mgliste osłony mistycyzmu i na gruncie rzewnej i smutnej litości wzrosłe i rozwinięte uczucie wcieliło się w ideę współczesnej filozofii, zawładnęło duchem bohaterów pieśni i załkało żałosnym jękiem nad znikomością i nędzą świata. Już nie sami tylko pobożni kapłani indyjscy, rozbierający u stopni marmurowych świątyń wzniosłą naukę Sakya-Muni'ego, ale wszyscy poważni przyjaciele ludzkości załamali ręce nad nicością życia, niedolą ułomnej i słabej natury człowieka i bezsilną jego żądzą szczęścia, którym przeciwstawić tylko mogli mistyczną litość i miłość, te dwie zapoznane jeszcze, ale silne prawdziwą żywotnością wielkie cnoty przyszłych pokoleń... Ale, nim rzucone ziarno wzrośnie, a uroczy kwiat wszech-miłości wyda owoce tak słodkie, że zniszczy samem tchnieniem swojem gorycz pesymistycznych rozczarowań, w życiu, w pieśni i w książce spotykać jeszcze zawsze będziemy istotę o nerwach potarganych, o mięśniach bezsilnych, o inteligencyi marzycielskiej i niespokojnej, o czułości nadmiernie rozwiniętej, której umysł i serce zdolne będą popadać kolejno w odrętwienie i szaleństwo, w płomienny entuzyazm dla idei i w ostateczne poniżenie, i dochodzić nawet do chorobliwych przywidzeń i halucynacyj, owego człowieka chwili obecnej, łączącego w sobie pogardę zwykłych i banalnych praw życiowych, brak woli, rodzaj serdecznego pielęgnowania swych wrażeń i wyrafinowanej uczuciowości, wreszcie obojętność wobec śmierci... Tak Emil Zola uplastycznia w swojej książce *Dzieło* wysiłki żądnego ideału, a spętanego chorobliwą bezsilnością artysty, który gorąco ukochanej myśli, w ciało i formę zakląć nie może i traci w rozpaczliwem borykaniu się z własną organizacyą twórczą, talent, władze myślenia, a w końcu i życie. W niedokończonej jeszcze *Lalce*, Bolesław Prus rzeźbi postać człowieka wielkiej energii i hartu, któremu niczem niezwalczona namiętność, opętanie urokiem kobiety, łamie na każdym kroku wolę i równowagę umysłową odbiera. Pisarze północy, z Henrykiem Ibsenem na czele, przynoszą nam częściej jęk i skargę istoty bezsilnej, walczącej z otaczającemi ją nieprzyjaznemi warunkami bytu, niż głos zdrowego i trzeźwego organizmu moralnego. Maks Nordau wreszcie, kreśli w powieści *Choroba wieku* szeroki obraz nowożytnej Golgoty, prowadząc swego bohatera kamienistą drogą krzyżową, gdzie mu się każe bezustannie chwiać i upadać pod brzemieniem, obezwładniającej najlepsze jego popędy i najszlachetniejsze porywy, niemocy...

„Jestem bezwiedną igraszką nieznanych sił“ — woła rozpaczliwie Wilhelm Eynhardt, przed niedokończonem dziełem, przed niedoścignionym ideałem życia swego, gdy już zupełny zanik woli, przybierający formę mistycznego fatalizmu oddaje wyższą jego szlachetną naturę na pastwę nędznej, zarodek śmierci w sobie noszącej choroby. Piękny jak bożek olimpijski, umysłowo rozwinięty, Wilhelm, przebywa ciągle myślą w sferach najpodnioślejszego idealizmu; w oczach mu się pali pragnienie wiedzy, pod białem czołem pracuje myśl samodzielna i śmiała, całe obszary ludzkich uczuć i potrzeb ogarniająca, serce gorąco bije miłością dobra i piękna. Z poważnych studyów przyrodniczych wynosi młodzian, jasny, pozytywny pogląd na zjawiska życiowe i społeczne, a zamiłowanie do nauk współczesnych buddystów niemieckich rozbudza w nim ducha bezczynnej kontemplacyi, przechodzącej powoli i stopniowo w niemoc moralną, z której się wysnuwa życie gorączkowych porywów, bezsilnego szamotania się, życie, złożone ze sprzeczności, błahych utarczek i przeplatane to dzikiemi buntami przeciwko istniejącemu porządkowi społecznemu, to zupełnem omdleniem myśli i uczucia.

„Każde stworzenie“ — powiada Schopenhauer — a więc i człowiek, potrzebuje, aby żyć na świecie, pewnej równowagi i proporcyi między wolą a inteligencyą. Im ściślej i sprawiedliwiej natura ten podział urządziła, tem człowiek pewniej, lżej i przyjemniej przez życie przechodzi... A ponieważ jest zadaniem inteligencyi przewodniczyć woli i kierować nią — to, im ta ostatnia bywa niespokojniejszą i namiętniejszą, tem jaśniejszą i doskonalszą powinna być inteligencya... W przeciwnem ustosunkowaniu, inteligencyi i woli, człowiek popada również w nieszczęście. Zbyt silne rozwinięcie władz umysłowych i wynikająca stąd ich przewaga nad wolą, jest dla potrzeb i celów życiowych nietylko zbyteczną, ale niebezpieczną i zgubną...“

Umotywowane na tej logicznej podstawie następstwo faktów piętnuje już pierwsze kroki Wilhelma na samodzielnej drodze życia fatalizmem chorobliwej bezwładności. Spotkana zaraz po skończeniu uniwersytetu na wędrówce po turyngskich lasach, urocza Lulu, córka wpływowego finansisty berlińskiego i ukochana całym zapałem, spragnionego wielkich uczuć, serca, okazuje się zwykłą, samolubną, zupełnie zmateryalizowaną lalką salonów stołecznych. Żal nad tym smutnym zawodem miłosnym przerywają hasła wojny 1870 r. Wilhelm — ze stanowiska etycznego, zacięty wróg wszelkich rzezi międzynarodowych, pod jakimkolwiek by były patryotycznym sztandarem urządzane — zaciąga się w szeregi, by spełnić obywatelską powinność, a uniesiony wrażliwością swej chwiejnej i niespokojnej, z pod wszelkich form, wyłamującej się natury, wchodzi w kolizyę z całym szeregiem otaczających go warunków i praw życiowych, przez zwyczaj i tradycyę dawno uświęconych. Przesądem jest dla niego czyn ratowania zagrożonej przez wroga chorągwi pułkowej, z zasady, że nie warto dla strzępka materyi, prostego symbolu, narażać swego życia, a w tejże samej chwili wystawia bez wahania pierś swą na śmierć niechybną, by wydobyć z niebezpieczeństwa dowódcę pułku. Ozdobiony za ten czyn waleczny krzyżem żelaznym, nie przyjmuje go, gdyż upokarzającą wydaje mu się myśl, „że każdy przechodzeń będzie mógł poznać po tem odznaczeniu, iż spełnił swoją powinność.“ Zdziwienie towarzyszów Wilhelma zmienia się w prawdziwą pogardę, gdy młody oficer, wyzwany przez swego rywala do ręki i serca pięknej Lulu, nie stawia się na placu, w zamian szeroko broniąc tezy przeciwnej pojedynkom. Prawo wyklucza go wtedy z armii niemieckiej, a sercowy stosunek z powabną dziedziczką, z którą go nie łączy żadna wspólność umysłowa, ani duchowa, sam przez się zostaje zerwanym.

Zamykając się coraz bardziej w swem chorobliwem marzycielstwie, Wilhelm narkotyzuje się własnem cierpieniem i potęguje rozdźwięk istniejący już dawno między nim a światem. Zniechęcony i rozczarowany, pielęgnuje jednak w sobie gorącą miłość ludzkości i w jej imię chwyta się z zapałem sprawy socyalistycznej, która, po wojnie, wstrząsa całym wewnętrznym ustrojem Niemiec, poznaje wszystkie stronnictwa, ale — wróg nienawiści i teroryzmu — nie chce zostać przywódcą żadnej partyi, a jedynie w ciszy staje się ojcem i opiekunem wydziedziczonych, poświęca znaczne sumy dla rodzin wydalonych robotników, podtrzymując moralnie i materyalnie sfanatyzowane tłumy. Rozwielmożnione w owej burzliwej epoce szpiegostwo odkrywa spokojną, z pobudek czystej miłości bliźniego płynącą, działalność Wilhelma i piętnuje ją mianem dążności anti-rządowych, za które, na wydalenie z Berlina skazany zostaje. Przed budzącem się przykrem uczuciem osamotnienia i życia bez celu, chroni się znękany rozbitek w próżne usiłowania systematycznej pracy naukowej nad dawno już uplanowanem dziełem, mającem zebrać w jedną całość „historyę ludzkiej nieświadomości.“ Bogaty i pracowicie zebrany materyał znajduje się już w jego ręku, ale brak wytrwałości i wiary w siebie, a w końcu odebrane ze świata zewnętrznego nowe wrażenie, nie pozwalają mu książki dokończyć. Uczuciowa i słaba natura Wilhelma, podrażniona otaczającą go pustką, przywiązuje się znowu bezwiednie do spotkanej na tułacze życiowej kobiety. Hrabina Pilar, złotowłosa hiszpanka, jest jedną z tych istot, które — wielkie

damy czy ulicznice — idą tylko za głosem krwi i namiętności... Gołębia prostota serca, dziecięca prawie naiwność w połączeniu z namiętną egzaltacyą i wyrafinowaną zmysłowością dają hrabinie czar i władzę utrzymania młodego filozofa w więzach upajającej miłości; nie kochając prawie złotowłosej czarodziejki, ale odurzony rozkoszą, traci w jej objęciach poczucie swej godności i wśród zbytku i przepychu jej pałacu, obojętny na swą wobec samej Pilar i całego jej otoczenia dwuznaczną pozycyę, pędzi życie gnuśnej i upakarzającej bezczynności. Wreszcie, przesycony, buntuje się ostatnim już wysiłkiem woli i ucieka pokryjomu z miłosnego więzienia; schroniwszy się u towarzysza lat dziecinnych, ratuje mu tonące dziecko i znajduje śmierć przypadkową, czy umyślną w nurtach rzeki...

Odczuwał snać Nordau wielkie braki w charakterystyce swego bohatera, bo dla lepszego uwydatnienia jego bezsilności i newrozy dał mu za przyjaciela Pawła Haber. Natura rzutka, energiczna, czynna, zdążająca uparcie do celu, Paweł jest w zgodzie z sobą i ze swem otoczeniem; bogatem małżeństwem zyskuje kapitał potrzebny do pracy, a umiejętnem gospodarowaniem zdobywa znaczny majątek, stanowisko zasłużonego na polu agronomii i przemysłu obywatela, dobija się zaszczytów i w końcu uszlachconym zostaje. Pomiędzy Wilhelmem, któremu dociekania metafizyczne, usypiają wolę, a Pawłem, znajdującym w trzeźwej, praktycznej działalności zaspokojenie wszystkich swoich ideałów, stoi typ pośredni, dr. Schrötter, sylwetka wykrojona ze starych ksiąg indyjskich, a przesiąkła nauką sceptyków greckich i mistrza ich Pyrrhona — nic ma dla niego probierza prawdy; życie trzeba brać takiem, jakiem jest, starając się tylko ciągle o moralną doskonałość. Pod hasłem słów: *Uden horizo* (nie roztrzygam), kreśli ten spokojny wyznawca trochę apatycznej zasady życiowej, moralną paralelę swoich dwóch przyjaciół: „Eynhart był wyborową, doskonałą organizacyą, Haber zaś wcieleniem powszedniości. Pierwszy patrzał ku gwiazdom, drugi spoglądał tylko w ziemię pod swojemi stopami. Pierwszy zerwał z drzewa wiadomości najszlachetniejszy jego owoc: przeświadczenie o swej nieświadomości, drugiemu zdawało się, że jest badaczem i że mnóstwo pytań rozwiązał. A tymczasem; wielka, szlachetna dusza Wilhelma nie zostawia za sobą i śladu, a płaski, mierny człowiek zapisuje trwale swe imię na ziemi ojczystej... Wilhelmowi nie dostawało tylko woli; ale ten brak woli pochodził z jego głębokiego przekonania o nicości życia, a brak celów i pragnień był tylko dowodem jego pogardy dla wszystkiego co próżne i przemijające... A teraz, który z tych dwóch ludzi ma większą wartość moralną? Kto z nich podniósł wyżej ducha ludzkości? Kto spełnił lepiej swój obowiązek? *Uden horizo*."

W tej charakterystyce leży właściwie myśl przewodnia książki, a w tych pytaniach i tak mało zadawalającej odpowiedzi mieści się groźna i paląca kwestya „choroby naszego wieku." Maks Nordau nie wyzyskał dostatecznie całej grozy i potęgi mistycznego anioła zniszczenia, który w postaci newrozy nurtuje ducha ludzkości, i wkradając się z okrutnem upodobaniem w najjaśniejsze, najszlachetniejsze umysły, wyrywa je z łona pracującego i czynnego społeczeństwa, prowadzi jednych do szpitali obłąkanych, drugich do samobójstwa, a obecnie wstrząsa całą Europą tragizmem zgonu Rudolfa habsburskiego...

Powieść robi tylko wtedy silne wrażenie, gdy bohaterowie jej są ludźmi, gdy pod godłem ścisłego determinizmu wkrada się w tajemnice natury, odkrywa koła i sprężyny wszelkich objawów umysłowych i zmysłowych, aby pokazać człowieka żywego, w kole społecznem, które sam stworzył i w którem walczy i cierpi w obronie swych praw moralnych. Idee zaś, w ludzką tylko postać przybrane, zająć i zaciekawić mogą świetną i błyszczącą retorykę, ale pozostawią zawsze czytelnika chłodnym i nieufnym. Postaciom Nordau'a brak elektrycznej iskry samodzielnego życia, a zjawiska patologiczne, nad któremi autor chce przeprowadzić drobiazgowe śledztwo, są jakby odrobione ręką biegłego i pedantycznego anatoma. Widocznym jest brak sumiennych studyów natury, a dyagnoza choroby wieku, postawiona zrazu śmiało i energicznie, chwieje się i słabnie z biegiem powieści; stąd, skarga toczonego jadem zwątpienia i bezsilności człowieka zmienia się w płaczliwe jęki zniedołężniałego i zniewieściałego sybaryty. Groźne objawy niezdrowych kierunków myśli ludzkiej uderzyły snać wrażliwy i krytyczny umysł pisarza, który śmiałą ręką targnął się na widmo pesymizmu, ale tchu mu zabrakło, a bardziej jeszcze nie dostało mu piorunów w głosie, aby—potępić, lub litości w sercu, aby—opłakać ponurą dolę współczesnego pokolenia.

W zamian za to, koloryt i charakterystyka epoki trafne i zajmujące, a obraz świeżo powstałego cesarstwa, owych Niemiec, którym się ciągle jeszcze zdaje — według Hegla — że „absolutny duch" uosobił się w nich, jako w najwyższej swojej syntezie, nacechowany jest silnym i jędrnym sarkazmem. Szkoda jedynie, że na tem barwnem tle zatracił się rysunek bohatera i że pesymizm, ta — podług słów poety naszego — mroczna „noc rozumu" i newroza — krwawiąca rana serca, nie znalazły w autorze *Paradoksów* ani wiernego historyka, ani rozrzewnionego poety, ani sumiennego lekarza.

Jadwiga Krausharowa.

LITERATURA FRANCUSKA.

Paryż, 20 listopada.

Krytyka literacka. — Juliusz Lemaitre. — Emil Hennequin. — Georges Renard i Edward Rod. — „Portrety i szkice" Pawła Bourgeta. — Jego psycho-fizyologia miłości. — Guy de Maupassant. — *Marie Fougère* z przedmową. — Nowa powieść Marcela Prévost.

Krytyka literacka w ojczyźnie Taine'a i Saint-Beuve'a nie zalega bynajmniej pola. Najwybitniejszym dziś jej przedstawicielem jest bez zaprzeczenia Julian Lemaitre, „krytyk-impresyonista." Nie przyznaje on dla tej umiejętności żadnych metod i stałych zasad, twierdząc, że to, co przyjmujemy za dogmatyczne podstawy literackiego krytycyzmu, sprowadza się do gustu Arystarchów. Krytyka literacka jest, według Lemaitre'a, jedynie wyrazem osobistej wrażliwości i osobistych upodobań. Upodobania te nie są bynajmniej stałe, zmieniają się wraz z usposobieniem i wiekiem.

W duchu tych właśnie zapatrywań napisał Lemaitre trzy dotąd tomy portretów i szkiców p.t. *Les contemporains*. Przesuwa się w nich przed nami cała spółczesna literatura francuska. Autor odczuwa wszystkie jej prądy i pojmuje z eklektyzmem skończonego „renanisty." Obraz ten mieni się wszystkiemi barwami twórczości artystycznej i zaleca subtelną nader dyalektyką. Niezałożnie od zmiennych swych upodobań, które jednak skłaniają się widocznie ku spółczesnym tematom i swobodzie tworzenia, Lemaitre posiada gruntowne wykształcenie literackie i niepospolitą w tym zakresie wiedzę. Piśmiennictwo greckie, łacińskie i francuskie, zarówno dawniejsze, jak nowsze, zna wybornie. Ukończywszy Szkołę normalną, był profesorem retoryki, porzucił jednak to zajęcie dla pióra.

Tajniki twórczości literackiej nie są mu obce również. Pisarski swój zawód rozpoczął, jak się to zwykle dzieje we Francyi, tomem poezyj; napisał też pewną ilość nowel, kreślonych z talentem. Zajmuje się nadto krytyką teatralną. Prowadzi w *Journal des Débats* tygodniowy odcinek, poświęcony sztuce dramatycznej i wydał już dwa tomy swych *Impressions de théâtre*.

Cała karyera literacka Lemaitre'a datuje się zaledwie od lat kilku. Wystąpiwszy na widownię sypał jak z rękawa swe szkice literackie, niewątpliwie już jednak wyczerpał spory zapas krytycznej swej wrażliwości, wypisał się i nic zapewne nowego nie powie. Podwoje akademii stoją przed nim otworem.

Kiedy dochodził do zenitu swej działalności, wyrabiał się i dojrzewał inny krytyk o dążeniach wręcz przeciwnych. Emil Hennequin pragnął ująć krytykę literacką, puszczoną przez Lemaitre'a na wszystkie wiatry kapryśnych upodobań, w stałe i pozytywne karby nauki. Śmierć, która go zaskoczyła znienacka w roku ubiegłym, w 28 roku życia, nie pozwoliła mu wykończyć dzieła podjętego na szersze rozmiary. Po zgonie autora wyszedł tom, zatytułowany *La critique scientifique*, wyjść zaś mają jeszcze dwa tomy jego studyów literackich.

Pracę swą rozpoczął Hennequin sądem o Tainie, wykazując braki i jednostronności jego metody; pragnął wyprowadzić szkołę naturalistyczną z ciasnego zakresu, w którym ugrzęzła i uległa zabagnieniu; chciał otworzyć twórczości literackiej szersze widnokręgi, dać jej treść pełniejszą i bardziej wszechstronną; usiłował wreszcie stworzyć naukową krytykę literacką.

Nie pozostały bez pewnego wpływu na Hennequina studya Melchiora de Vogüé o literaturze ruskiej, równie jak i sama literatura, znana oczywiście tylko z przekładów francuskich. Przetłomaczono z niej jednak wszystko prawie, co zasługiwało. Wpływ twórczości ruskiej na Francyę ujawni się niewątpliwie, kiedy wystąpią siły młode. Literatura ta, niezależnie od panujących tu dążeń politycznych, została poznaną w ważnym momencie psychologicznym, kiedy naturalizm francuski wyczerpywał się już i kiedy szukano dróg nowych. Realistyczny charakter nowszej literatury ruskiej, obok tkwiącego w niej pesymizmu, mistycyzmu i zajęcia się szerszemi zagadnieniami ludzkiemi, były to pierwiastki, które na wyjałowiony chwilowo grunt tutejszy silnie oddziałały. W niewydanych jeszcze tomach prac Hennequina znajdują się studya o Dostojewskim, Tolstoju...

Kiedy wreszcie jeden z krytyków wypisał się już, drugi zaś żyć przestał w samym zaraniu swej działalności, wysuwają się obecnie dwaj, przeznaczeni niewątpliwie do objęcia spadku. Jeden z nich jest profesorem literatury w Lozannie, drugi w Genewie, obaj jednak są francuzami i obecne swe stanowiska uważają zapewne jako przejściowe. Mam tu na myśli Jerzego Renarda i Ewarda Roda.

Pierwszy wydał przed rokiem *Etudes sur la France contemporaine*, między któremi mieści się wyborne, lubo ogólnikowe studyum o naturalizmie francuskim, o którym w swoim czasie pisałem w *Prawdzie*. Świeżo ogłosił Renard, w styczniowym zeszycie *Revue Nouvelle*, wyczerpującą i doskonale napisaną rozprawę o Juliuszu Lemaitre. Profesor lozański, zajmujący się jednocześnie polityką i socyalizmem („Wpływ Niemiec na Francyę po roku 1871," „Spółczesny socyalizm francuski," „Sojusz katolickiej i radykalnej demokracyi szwajcarskiej na gruncie zadań socyalnych") posiada wyrobione poglądy zasadnicze w tej dziedzinie, nie zbywa mu zaś na gruntownem wykształceniu filozoficznem i literackiem.

Edward Rod pomieścił w jednym z ostatnich zeszytów *Revue Nouvelle* cenne studyum o Emile Hennequinie, w *Revue suisse* gruntowny rozbiór Verlaine'a, poety z plejady „dekadentów," i całej tej najnowszej

szkoły literackiej we Francyi. Świeżo także ogłosił pracę p. t. *Essence de la vie*, oraz artykuły o realizmie we Włoszech i Hiszpanii. Pisuje również powieści i nowele, które jednak nie celują zbyt wykończonym artyzmem; zajmuje się także sprawami polityczno-społecznemi i literaturą ruską. Jako krytyk odznacza się Rod niezaprzeczoną bystrością i przenikliwością w swych zapatrywaniach oraz rozległą wiedzą.

Paweł Bourget wydał niedawno dwa tomy swych portretów i szkiców literackich, oraz obrazów z podróży, głównie po Anglii, którą zna dosyć dobrze oraz jej literaturę — drukuje zaś obecnie w piśmie ilustrowanem *La Vie parisienne* pod pseudonymem Klaudyusza Larcher (jednego z bohaterów powieści tegoż autora p. t. *Mensonges*), zajmującą psychologię i fizyologię miłości, która wyjdzie niebawem oddzielnie.

Guy de Maupassant ocknął się także po chwilowem milczeniu i drukuje znowu nowele oraz obrazki z podróży.

Niemało zajęcia budzi obecnie bezimienna powieść p. t. *Marie Fougère*, opatrzona przedmową, w której nieznany autor występuje gwałtownie przeciwko naturalizmowi, szczególniej zaś przeciwko Daudetowi i Zoli, wypowiada się zaś z gorącemi sympatyami dla idealizmu.

Podobną przedmowę umieścił w roku zeszłym we wstępie do swej powieści mało jeszcze znany, utalentowany jednak powieściopisarz Marceli Prévost, obecnie zaś wydał nową powieść p. t. *Mademoiselle...*, która tem się odznacza, że bohaterka nie ulega w niej tragicznej karze za popełniony błąd pierwszej swej młodości, lecz zmywa go następnie prawdziwą i głębszą miłością. Jest w tem postawieniu kwestyi pewne odstąpienie od utartej dotychczas drogi zarówno romantyzmu, jak naturalizmu.

E. P.

POEZYA.

WIEK NOWY.

My już należymy do dawnej epoki,
Gdy dźwięk rymowany, dzisiaj w ponie-
[wierce,
Niósł dumnego ducha w złociste obłoki
I zlewał się tęskny w jedną zwrotkę: *serce.*

My już zapleśnieli w formie i w pojęciach,
Na naszych zagonach nowe orze plemię,
Nasza Muza w obcych spoczywa objęciach—
Po szalonych nocach dziś spokojnie drze-
[mie..

Cały wiek zapałów, cały świat marzenia,
Całe tomy westchnień, rymów i uniesień
Zlały się powoli w tabliczkę mnożenia...
Po kwiatach i wiośnie — owoce i jesień...

Śpijcie dusze młode! Nie patrzcie na słońce,
Nie biegnijcie duchem tam, gdzie ducha
[światy.
Tu na ziemi uciech początki i końce!
Po co sercem zimne wyłamywać kraty?

Strójcie doczesnego świątynię żywota
W bogate zdobycze chlebodajnej paszy,
A gdy serce porwie nieznana tęsknota,
Wypędźcie ją siłą ze świątyni waszej!

Henryk Merzbach.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Wybuch kotła parowego w fabryce Lilpopa i Raua.— Szybkie załatwienie sprawy. — Zawsze winien nieboszczyk. — Przypomniany obowiązek. — Co robi rada nadzorcza w bankach ziemskich. — Jej odpowiedzialność. — Pracownia sanitarna miejska. — Zadanie d-ra Bujwida. — Kilka słów o starej gruszy, która odmłodniała. — Fejerwerk karnawałowy. — Nasi ziemianie wobec dostaw do wojska.

Opisaliśmy wypadek we wszystkich szczegółach, jak należy, i przeszliśmy do porządku dziennego, na którym stało dziesięć balów publicznych i prywatnych dla każdego dnia. Dłużej zajmować się pęknięciem kotła w fabryce Lilpopa i Raua niepodobna. Gdyby tak na śniadaniu u Stępkowskiego udławił się kostką kapłona reporter, czytalibyśmy najrozmaitsze z tego powodu rozprawy: naprzód opis samego zdarzenia, następnie wykaz cnót i zasług szanownego kolegi, potem wezwanie ogółu do opieki nad rodziną nieboszczyka, który poległ na „stanowisku,“ a wreszcie ostre przymówki kuchni restauratora, który podaje kapłony z niebezpiecznemi kostkami. Wybuch kotła nie nastroił naszych lutni dziennikarskich do tych elegij. Zaznaczyliśmy tylko, co się stało. Uznając ten zwyczaj za naturalny wobec uczuć i zasad prasy, która przedewszystkiem podnieca namiętności karnawałowe, powracam do mojej dawnej śpiewki o dozorze nad kotłami i odpowiedzialności fabrykantów. Powtarzam, że zbiornik strasznej i niszczącej siły nie powinien istnieć i działać po za obrębem najściślejszej kontroli, lecz ulegać jej na równi ze wszystkimi materyałami wybuchowymi, wszelkie zaś niedbalstwo i lekceważenie życia ludzkiego powinno być karane surowo. Pojmujemy wszystkich Piłatów fabrycznych, chętnie umywających ręce od wszelkiego uczestnictwa w nieszczęściu i zapisujących całą winę na martwej skórze jakiegoś zabitego robotnika, ale nas ich czystość nie łudzi. Za zbyt często powtarza się ta sztuka przemiany ofiar na sprawców złego, ażeby ona mogła bałamucić opinię publiczną. Zawsze zarząd fabryki jest w porządku, zawsze kocioł znajdował się w należytym stanie, zawsze sprowadził katastrofę robotnik, który go pilnował — to nieco za wielka prawidłowość i jednostajność wypadków. Trzeba zaglądać po za ten szemat usprawiedliwień i nie pozwalać na wyzyskiwanie milczenia umarłych, którzy może złożyliby odmienne świadectwo, gdyby zmartwychwstali. „Przy wybuchu kotła parowego — powiada p. J. Ossowski w *Kuryerze codziennym* — sprawcy nieszczęścia *zwykle* nie żyją.“ Otóż pytanie, czy „zwykle nie żyją,“ czy w wypadku ostatnim „palacz dokładał ognia pod kocioł, który rozpalił się do czerwoności.“ Jeżeli są tacy, którzy to widzieli i rozumieli niebezpieczeństwo, czemuż nie uwiadomili w porę zarządzających fabryką? Jeżeli w domu peknie lampa i zapali podłogę, natychmiast wzywamy na ratunek straż ogniową, ale jeżeli kocioł rozpali się do czerwoności a robotnik, chcąc go ochłodzić, pompuje weń wodę, która wytworzywszy nadmiar pary, rozsadza zbiornik—tak być miało w fabryce „Wulkan“ i w Lilpopowskiej— to nikt nikomu nie donosi o grożącym wybuchu! Dziwna rzecz! P. Ossowski żąda, obok rękojmi co do trwałości kotła, ażeby „właściciel fabryki przyjął obowiązek, iż sam lub przez zastępcę będzie obecnym przy zakładaniu ognia a potem *co godzinę* stan jego kontrolował.“ Tak czy inaczej straż ciągła zaprowadzoną być winna. Jeżeli przy nienabitej armacie stoi dniem i nocą na warcie żołnierz, to przy strasznieJszym od niej i nabitym kotle jakiś rozumny czatownik miałby chyba również racyę bytu.

W jednem z miast żmudzkich pękł kocioł bankowy, poraniwszy wiele osób: kasyer ukradł kilkadziesiąt tysięcy rubli i zemknął. Wypadki tego rodzaju są u nas—niestety — od pewnego czasu tak zwykłe, że „nil admirari“ jest wobec nich jedynie rozumnem zachowaniem się. Nie myślę tu więc pisać ani wyroku na przestępcę, ani listu gończego za nim, ale niech mi wolno będzie spytać, co w owych bankach ziemskich robi rada nadzorcza, mająca—według ustawy — prawo i obowiązek czuwać nad kasą, rewidować ją nawet w nocy? Skarbnik może z niej ukraść znaczniejszą sumę tylko wtedy, kiedy przez dłuższy czas tai wpływy i zatamowywa rozchody, słowem prowadzi pewne fałszerstwa, pozwalające mu zgromadzić większą ilość pieniędzy. Tak było i w obecnym wypadku. Rada nadzorcza, istniejąca po to, ażeby uniemożliwiać takie przygotowawcze roboty złodziejskie, nie dostrzegła ich wcale. Czy więc nie należałoby ściągnąć straty z jej kieszeni? Byłoby to naprzód sprawiedliwem a następnie — że tak rzekę — społecznie pedagogicznem. Raz bowiem jedno z tych ciał, skąpane w warze własnego niedbalstwa, nietylko pamiętałoby o swych obowiązkach, ale służyłoby za przestrogę innym. Trzeba raz postawić i przeprowadzić zasadę, że urząd obywatelski nie jest czczą ozdobą dla tych, którzy go pojmują, nie stworzony dla tytułowania się w rozmowach i wnoszenia toastów na biesiadach, ale ma swoje znaczenie poważne, wiąże się z pewnemi powinnościami i odpowiedzialnością. Może wtedy będzie mniej kandydatów do rozmaitych dostojeństw, ale zarazem i mniej kradzieży w bankach. Gdyby rada nadzorcza w Rakiszkach tak doglądała kasy, jak — według p. Ossowskiego — fabrykanci winni doglądać kotłów, może nie byłoby wybuchu, w którym przepadło kilkadziesiąt tysięcy rubli.

Ogłoszo już urzędownie, że stacya kontrolująca materyały spożywcze pod kierownictwem d ra Bujwida będzie otwartą. Nareszcie znikną, a przynajmniej okiełznane zostaną te straszne nadużycia przeróżnych fałszerzów, dla których Warszawa była dotąd polem bezwzględnej swobody. W miastach zagranicznych istnieją oddawna ogromne, kosztowne, wielu ludzi zatrudniające biura. U nas, w mieście z półmilionową ludnością, w mieście, które posiada osobną, dobrze uposażoną pracownię, dozorującą czystości... gazu, nie było dotąd instytucyi, czuwającej nad czystością produktów spożywczych, a więc nad zdrowiem setek tysięcy ludzi. Zaiste trudno o dziwniejsze *curiosum.* Usunięcie go zawdzięczamy p. Oberpolicmajstrowi, który ową stacyę do życia powołał oraz zdolnemu i uczciwemu człowiekowi ją powierzył. Bujwid będzie miał pracę ciężką i trudną, musi karczować grunt chwastami zarosły, poruszyć stada os, które wyroją się przeciw niemu, ale z drugiej strony tem głębsze zadowolenie dadzą mu skutki sumiennych i wytrwałych usiłowań, tem większą będzie jego zasługa dla miasta.

Pewnego poranku *Gazeta warszawska* sprawiła nam niespodziankę — ukazała się wyższa i tęższa, niż od lat 111. Podczas gdy jej córki, wnuczki i prawnuczki rozrosły się bardzo, staruszka, jak gdyby przyciśnięta brzemieniem wieku, dorównać im nie mogła. Wyznaję, że miałem zawsze i mam dotąd szczerą dla niej sympatyę. Z wyjątkiem lat paru, w których niepotrzebnie nadstawiała uszu głupkowatym paplaninom o „pozytywizmie,“ a czasem nawet przepuszczała je półgębkiem przez własne usta, była zawsze poważną, uczciwą, rozumną a przytem redagowaną i pisaną przez ludzi, istotnie do pióra powołanych. Nie była nigdy przytulkiem dziennikarskiej zbieraniny, która w drodze do różnych karyer albo w tułactwie po bezdrożach wpada

przypadkowo do prasy, nie była portową budą wschodnią, gdzie słychać gwar najrozmaitszych, w jeden szwargot zmieszanych języków, nie była nigdy szafką uliczną, w której rozmaite programy przylepiają swoje afisze, miała stałe wyznanie wiary, przekonania, konsekwencyę i rzetelne przywiązanie do mowy ojczystej. Dotąd jest jedyną gazetą polską, to znaczy pisaną czysto i starannie po polsku, bez *stypulacyj, sistowań, purparlerów, mesażów, fiktywności, prohibicyj* i tym podobnych przysmaków gwary warszawskiej. Niektóre jej artykuły polityczne byłyby ozdobą najwybredniejszego dziennika europejskiego. W ostatnich czasach staruszka zaczęła się ruszać żwawo i zwracać uwagę na wszystkie objawy życia narodu, jeżeli zaś nie roz winęła należytej energii, to tylko dlatego, że naprzód nie zdołała się jeszcze wyzwolić ze swych zadawnionych nałogów a powóre, że u nas cała prasa konserwatywna nie przyswoiła sobie dotąd zasad i zwyczajów krytyki spraw społecznych i umysłowych. Co najwyżej prowadzi ona protokóły, zapisuje fakty, ale sądu nie odprawia i wyroków nie wydaje. Ten ukradł, tamten dał, ci podjęli takie przedsięwzięcie, tamci — inne — ot wszystko. Skutkiem tego poważne pisma zachowawcze u nas nie przyczyniają się do wytworzenia opinii w kwestyach bieżących, ogół na nie nie zważa, bo milczą. Zdaje mi się, że *Gazeta warszawska* powinna zerwać z tą tradycyą poważnej niemoty a niewątpliwie odzyskałaby ten wpływ, który częściowo straciła. A rzeczywiście i niezasłużenie straciła, pokonana przez współzawodniczki, które są od niej gadatliwsze, ale jej swą wartością nie dorównywają. Jest to jeden z najbardziej znamiennych rysów naszej szlachty, że ona nie dotrzymała przyjaźni organowi, który przez wiek cały bronił jej interesów i piastował najlepsze ideały konserwatyzmu. Bo jeżeli ten pierwiastek z naszego stanowiska może być szanowanym, to tylko w tej postaci, w jakiej go przedstawia *Gazeta warszawska*. I właśnie ta postać poważnej i światłej zachowawczości nie przypada do smaku naszej szlachcie, która lubi tylko pochlebcze piżmo i klerykalną paczulę.

Stara tedy grusza, która rodziła ciągle wyborowe owoce, ale z przyschniętemi gałęziami przy swych towarzyszkach wyglądała bardzo skromnie, nagle puściła nowe pędy i rozrosła się pokaźnie. Więc ma pień czerstwy i próchnieć nie myśli. Lubię drzewa, które pomimo starości są zdrowe. Takiem drzewem jest *Gazeta warszawska*—macierz prasy naszej. Nie z naszego ogrodu i ogrodu, do innego należymy gatunku, odmienne zasady w nas wszczepiono; ale czyżby kokos, gdyby miał świadomość, nie cenił gruszy? I ja więc mogę cenić *Gazetę* a zarazem życzyć jej paru... stuleci życia. Boć ona w prasie naszej jedyna, która wiek swój mierzy stuleciem.

Karnawał się skończył i skończył świetnie — balom w jednej z resurs, którego uczestnicy płacili po 30 rs. od osoby. Chcieli nawet oznaczyć składkę na 50 rs., ale widocznie ktoś im zwrócił uwagę, że nie trzeba obrazów zbytku rzucać na tło nędzy ogólnej. Zrobiono tedy ustępstwo demokracyi, w imieniu której kwituję szlachetne dusze z wymownego dowodu wyrozumiałości. Karnawał tedy skończył się — nie, tego powiedzieć nie można, bo on trwa u nas nieprzerwanie od lat stu kilkudziesięciu, ale na 7 tygodni uspokoił się nieco. Mając teraz niezajęte nogi i swobodniejszą głowę, ziemianie nasi pomyślą zapewne o — dostawach dla wojska. Jak wiadomo czytelnikom, władze wojskowe wezwały producentów rolnych do konkursu na zaopatrywanie armii w zboże. Buchnęły z gazet wskazówki i rady, a z piersi szlacheckich zachwyty. A oto rezultat — według *Kuryera warszawskiego*: „*Jedna* tylko oferta ziemianina przez intendenturę tutejszą otrzymaną i przyjętą została, mianowicie właściciela folwarków w gubernii *grodzińskiej*." *Kuryer* przytem dodaje, że obywatele gubernij mińskiej i połtawskiej rozebrali *całą* dostawę.

No i cóż szanowni nasi ziemianie, którzy tyle razy opłakaliście trudność zbytu zboża! Przewiduję waszą odpowiedź: jeden ma zboże pod sekwestrem, drugi je sprzedał pospiesznie na wydatki karnawałowe, trzeci był zajęty karnawałem — ale czyż wszyscy, czyż wszyscy?

Poseł Prawdy.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Ministeryum oświaty rozesłało zarządom okręgów naukowych okólnik, którym zawiadamia, iż instytucye podwładne ministeryum, oraz wyższe zakłady naukowe mogą sprowadzać bez cła potrzebne dla siebie przedmioty, nie udając się za każdym razem o wyjednanie oddzielnego pozwolenia od ministeryum skarbu.

Podatek. Ministeryum skarbu pociągnęło do opłaty dodatkowej wszystkie zagraniczne towarzystwa udziałowe, prowadzące operacye w Rosyi. Wskutek tego rozporządzenia, dochody skarbu państwa powinny się zwiększyć do dwóch i pół mil. rubli.

Towarzystwo udziałowe urządzeń elektrotechnicznych w tych dniach zostało zatwierdzone w Petersburgu. Zamierza ono rozciągnąć działalność swoją na całe państwo przez zakładanie fabryk odpowiednich i urządzanie oświetleń elektrycznych miast, gmachów teatralnych, fabrycznych itd. Na głównego dyrektora wszystkich zakładów został powołany inżenier Gustaw Kamieński, b. dyrektor zakładów Tow. przemysłowego Lilpop i Rau w Warszawie. Oprócz Petersburga i Moskwy, p. K. zamierza w naszem mieście założyć filię Towarzystwa akcyjnego, celem wprowadzenia oświetleń elektrycznych.

Do komisyi, zajmującej się sprawą rolnictwa grupa właścicieli ziemskich z gubernij południowo-zachodnich, wniosła podanie z prośbą o przeprowadzenie nowych dróg podjazdowych.

Osuszanie błot. *Petersb. Wied.* donoszą, iż osoby prywatne przyjęły żywy udział w popieraniu robót około osuszania błot. W r. b. oprócz sumy wydanej na ten cel ze skarbu, oczekiwane są pomiędzy innemi następujące składki: od p. Narkiewicza-Jodko 1,500 rs., od hr. Broel-Platera — 1,500 rs., od ks. Radziwiłła — 1,000, od Dziekońskiego — 2,000 rs.

Nowe pismo. *Przewodnik dla spraw drukarsko-litograficznych*, dwutygodnik, poświęcony szerzeniu postępu w sztuce drukarskiej i litograficznej, zaczął wychodzić we Lwowie.

Szkoły. Na mocy postanowienia kuratora okręgu naukowego warszawskiego, 18 nauczycieli żydowskich z Chełma skazano na karę w wysokości po rs. 22 kop. 50 za utrzymywanie chederów bez stosownego upoważnienia władz naukowych i bez zachowania przepisów.

— Brak niższej szkoły rolniczej w Królestwie zastąpią dodatkowe kursy agronomiczne przy istniejących seminaryach nauczycielskich. Kursy mają być dwuletnie, tak iżby wychowańcy mogli otrzymać dostateczne przygotowanie do objęcia posad oficyalistów rolnych. Pierwsze takie kursy — jak donosi *Kur. warsz.* — powstaną przy seminaryum nauczycielskiem w Łęczycy. Program opracowywa się obecnie w ministeryum dóbr państwa.

Departament lekarski opracowywa obecnie projekt rozciągnięcia większej kontroli nad składami materyałów aptecznych i ograniczenia sprzedaży detalicznej wielu lekarstw, nabywanych obecnie przez publiczność w składach pomienionych. Nadto w każdym składzie będzie musiał się znajdować jeden uzdolniony farmaceuta, jako właściciel lub dysponent składu.

Komitet artystyczny utworzył się w Petersburgu. Do składu jego weszli: Siemiradzki, Makowski, Zabiełło, Meszczerski i Karazin.

Proces religijny odbywa się w Londynie przeciw biskupowi Linkoln, z powodu przyjęcia do liturgii zwyczajów kościoła katolickiego.

Fabrykę obuwia papierowego wykryto w Warszawie na Nalewkach.

Stacyę klimatyczną urządził Aleksander Dygant, warszawianin, przy ujściu kanału Kaledońskiego. Wielu anglików szuka tam pomocy dla zdrowia.

Nowe utrudnienia władze pograniczne austryackie wprowadziły dla ludności okolicznej. Wydawane kartki ośmiodniowe nie są przez komisarzów austryackich uwzględniane, o ile nie mają wizy konsula. Należy zatem półpaski posyłać do Warszawy, tracić czas i kilka rubli.

Zarząd dróg żel. Wiedeńskiej, Bydgoskiej i Łódzkiej zniżyły o 50% taryfę na przewóz przedmiotów i zwierząt, wysyłanych na przyszłą wystawę inwentarza w Warszawie.

Z Torunia donoszą, iż w tych dniach stawał tam przed kratkami wydziału karnego sądu ziemiańskiego p. Edward Donimirski z Łysowic, obwiniony o wykroczenie przeciw § 131 kodeksu karnego (zohydzanie instytucyj państwowych), którego się prokuratorya dopatrzyła w mowie mianej przez obwinionego na wiecu szkolnym. Rozprawa sądowa wykazała, iż oskarżenie opierało się na fałszywej denuncyacyi, skutkiem czego pana D. od winy i kary uwolniono.

Towarzystwo badaczów przyrody przy uniwersytecie warszawskim otwarto d. 4 b. m. 25 profesorów zapisało się na członków Towarzystwa.

W Stanach Zjednoczonych w ostatniem dziesięcioleciu pod ciężarem pociągów kolejowych zawaliło się 251 mostów.

Podatek. W ministeryum skarbu przygotowywa się projekt opodatkowania świec w formie nakładaania banderoli na opakowaniu w stosunku 1 kop. od funta wagi świec.

Ustawa hypoteczna. Ministeryum sprawiedliwości (donoszą *Pet. Wied.*) ukończyło opracowanie szczegółów ustawy hypotecznej dla Cesarstwa. Ma być ona zastosowana we wszystkich bez wyjątku guberniach i okręgach. W tych miejscowościach, w których nie wprowadzono jeszcze nowych ustaw sądowych, do ustawy hypotecznej wprowadzone będą pewne czasowe zmiany. Ustawę poprzedzi ogłoszenie nowego prawa o ostrzeżeniach na majątkach nieruchomych. Banki ziemskie starają się w ministeryum sprawiedliwości o przyznanie im pewnych przywilejów w nowem prawie.

Zmarli. Dawydow, w Moskwie, słynny wiolinczelista, dyrektor konserwatoryum petersburskiego.

— Dr. Soyka, nadzwyczajny profesor hygieny uniwersytetu niemieckiego w Pradze, odebrał sobie życie. Brat jego przed rokiem zmarł w zakładzie obłąkanych w Wiedniu. Na biurku profesora znaleziono kartkę: „Kochany bracie! Idę za tobą. Tam, gdzie się kończy myśl, zaczyna się zastrzelenie. Lepiej umrzeć, niż dostać obłąkania." Soyka miał lat 39, zajmował się przeważnie asenizacyą wielkich miast, kanalizacyą, badaniem powodów chorób zakaźnych i epidemicznych. Na wystawie hygienicznej w Wiedniu prace jego zwracały powszechną uwagę.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Wieśniakowi. „Chłopoman" jest obrazkiem pomyślanym dobrze, ale nieopracowanym artystycznie. Nadto pozostaje wątpliwem, czy pierwsza droga bohatera wiedzie do celu wobec tego, co on na niej osiąga. Szkic drugi bez wartości.

Panu W. Piotr. w S. Zbiorek wręczyliśmy p. A.; nr. 52 wysyłamy.

Panu F. G. P. Prosimy uprzejmie o widzenie się.

Panu Józ. Waś. Nie można.

Pani L. Ż. w W. W formie naśladowania dobre. ale w treści brak dowcipu, bez którego taki utwór obejść się nie może.

A. B. C. Szkoda, że Pan może pisać tylko „od ręki," bo skutkiem tego drukować wierszy nie możemy. Pomijając niedostatki rytmiczne, cóż to np. za wyrażenie „państwo humanów"?

M. B. Pierwszy wiersz niemożliwy, drugi nie wart druku. Oba przełożone słabo.

Pani A. R. Myśl jasna: „przepaść była za wielką... ażeby na nią mógł rzucić most swem pośrednictwem jeden pisarz, chociażby on nawet był itd."

Dr. Karasiewiczowi. Bez przesyłki rs. 2 kop. 40, przesyłka kop. 20.

Jednemu z prenum. Zapewne w prasie zagranicznej były krytyki, ale gdzie i kiedy, nie wiemy.

Panu A. P. w Witebsku. Zamieścimy.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Sprostowanie. W przeszłym numerze w Kronice zamiast „Zakład lekarski," powinno być „Zakład tokarski."

Ogłoszenia.

Wydawnictwa „Prawdy."

J. Brandes. **Główne prądy literatury XIX w.,** tomów cztery, tłom. K Lewald — rs. 6.

Ekonomia polityczna według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona — rs. 3.

L. Liard. **Logika,** tłom K. Lewald — rs. 1.

A. Espinas. **Społeczeństwa zwierzęce,** wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologii — rs. 3.

Uwaga. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą **za połowę ceny.** Na koszta przesyłki pocztowej dołączyć należy kop. 15 do każdego rubla.

E. Taylor. **Zmyślność i moralność roślin** (w oprawie) — rs. 1 k. 5o.

L. H. Morgan. **Społeczeństwo pierwotne,** czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. Bąkowskiej — rs. 3 (z przesyłką rs. 3 k. 5o).

J. Barni i A. Krzyżanowski. **Męczennicy myśli** (w oprawie) — rs. 1.

A. Świętochowski. **O powstawaniu praw moralnych** rs. 1 k. 5o.

W. Okoński. **Dramaty** (Antea, Na targu, Helvia, Poddanka, Błazen, Za maską) — rs. 1.

— **O życie,** powiastki: Chawa Rubin, Karl Krug, Damian Capenko — k. 5o.

— **Klemens Boruta,** powieść — k. 4o.

— **Niewinni,** dramat w 3 aktach — k. 8o, z przesyłką rs. 1.

Dr. Azam. **Charakter w zdrowiu i w chorobie** — rs. 1.

N. Hirszband. **Byron** w urywkach — rs. 1 kop. 20, z przesyłką rs. 1 k. 25.

Dr. F. Rajkowski. **Poradnik lekarski** wraz z apteką domową (w oprawie), rs. 1, z przes. rs. 1 k. 20.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 24 Февраля 1889 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.